CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO

TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 24 Października 1937 R. NR. 41-42

O postawę moralną

Przed niedawnym czasem na jednym z licznych ostatnio zebrań o charakterze klubowo-politycznym wygłoszony został na inauguracji prac referat p. t. „Polska w roku 1940".

Według informacji prasy, referent uzasadniał na wstępie wybór tego właśnie tematu w następujący sposób. W roku 1940 zakończone zostaną wielkie zbrojenia państw europejskich. Rzeczą zasadniczej wagi jest, czy Polska w tym czasie będzie należycie przygotowana wewnętrznie i zewnętrznie, czy nie pozostanie w tyle w stosunku do nagromadzonej przez innych energii i zdolności zwartego i mocnego działania.

Temat niewątpliwie zupełnie zasadniczy i zasługujący na szczególną uwagę. Jednak nie obejmuje on całości zagadnienia. Mobilizacja sił i środków jest niewątpliwie wielką prawdą dzisiejszych warunków europejskich. Jednak nie jest ona wszystkim. Również niezaprzeczoną prawdą jest, że wojna dzisiaj nie jest już tak wyraźnie określonym i wygrodzonym w czasie i miejscu zjawiskiem, jak była nim kiedyś, nawet jeszcze w czasie Wielkiej Wojny lat 1914—1918. Dzisiaj — nie pierwsi czynimy to spostrzeżenie — żyjemy od dłuższego czasu w warunkach europejskiej wojny, mającej niejako charakter eksperymentalny, charakter pewnego rodzaju próby sił, dokonywanej na cudzym terytorium i bez ponoszenia bezpośredniej odpowiedzialności.

Obserwacja ta nie może być dla nas obojętna. Z natury naszego położenia geograficznego i politycznego wynika, że bylibyśmy dla niektórych partnerów europejskich szczególnie wdzięcznym i wygodnym polem tego rodzaju eksperymentów. Oczywiście jednak, grozić to nam może w tym przede wszystkim wypadku, gdybyśmy na skutek takich czy innych nastrojów i wydarzeń zatracili w mniejszym czy większym stopniu naszą naturalną równowagę wewnętrzną; równowagę nerwów i sił, stabilizację stosunków, poczucie całkowitej wewnętrznej jednolitości w stosunku do każdego zewnętrznego niebezpieczeństwa i do każdej zewnętrznej ingerencji w sprawy naszego Państwa.

Czy stan tego rodzaju może nam grozić? Dalecy jesteśmy od chęci wyolbrzymiania znaczenia niektórych niepokojących zjawisk, jakie od pewnego czasu dostrzega się w naszych stosunkach wewnętrznych. Niemniej jednak nie uważamy, by trzeźwa dyskusja na temat tych zjawisk mogła być szkodliwa, czy niebezpieczna.

Od pewnego czasu daje się w naszych stosunkach wewnętrznych zauważyć dziwny wzrost nerwowości, niebezpieczna skłonność do uważania, że żyjemy jak gdyby w przede dniu jakichś nieuniknionych decyzji, czy wstrząśnień. Szkodliwa inspiratorka ludzkich działań i nastrojów — plotka — znajduje dla siebie szczególnie wdzięczne pole. Niekiedy trudno się oprzeć wrażeniu, że plotka ta jest celowym narzędziem polityki w rękach takich, czy innych czynników. W każdym razie jest ona czynnikiem niepokoju wewnętrznego, który — z kolei — odbija się w sposobie traktowania spraw polskich przez prasę i opinię zagraniczną. Wszystko to składa się na obraz, mogący wywołać zadowolenie niejednego z naszych przeciwników. Lecz jeśli tak jest — to równocześnie jest wielki czas i wielka konieczność, byśmy starali się w gruntownej analizie naszych stosunków wewnętrznych dotrzeć do przyczyn niepokojącego stanu i przeciwstawić się ich rozrostowi, czy trwaniu.

Pierwsze stwierdzenie, które narzuca się w wyniku takiej analizy, jest, że przyczyny te w niewielkim tylko stopniu tkwią w obiektywnych i od woli ludzkiej niezależnych warunkach naszego bytu. Nie będziemy przeprowadzali tutaj porównawczej oceny naszej sytuacji gospodarczej dzisiaj i przed kilku laty. Najbardziej pobieżne nawet przyjrzenie się tej sytuacji prowadzi do wniosku nie tylko, że dzisiaj jest pewna poprawa w stosunku do przeszłości, lecz że są stosunkowo pomyślne warunki dla poważnego wysiłku inwestycyjnego na przyszłość. Ten wysiłek inwestycyjny widzi się zresztą i dziś, widzi się w różnych dziedzinach i w różnych formach. Ktoś, kto czuje się współodpowiedzialny za przyszłość Polski, za pozostawienie następcom lepszych warunków ogólnych Państwa, niżeli te, które są dzisiaj — może z niewątpliwym zadowoleniem stwierdzić, że nastrój pewnej fatalistycznej bezradności, z jaką patrzyliśmy na stan naszego zacofania gospodarczo-społecznego w stosunku do innych państw Europy, dzisiaj już zdaje się należeć do przeszłości, że są z powrotem warunki po temu, aby społeczeństwo polskie miało poczucie uczestnictwa w planowym marszu ku lepszej i pod każdym względem zasobniejszej Polsce.

Warunki te istnieją. Jednakże nie one decydują o dzisiejszych nastrojach społeczeństwa, przynajmniej w jego bardziej aktywnych, czy też tylko silniej uzewnętrzniających się kołach. Na te nastroje oddziaływują w pierwszym rzędzie czynniki natury moralnej, poczucie niepewności i braku stabilizacji w układzie naszych stosunków wewnętrzno-politycznych, ściślej mówiąc w sposobie politycznego zorganizowania społeczeństwa.

Nie będziemy powracali do wielokrotnie omawianego już zagadnienia genezy tego rodzaju stanu i ewentualnych błędów, które w tym zakresie popełniono w latach dawniejszych, czy też nawet w ostatnich miesiącach. Faktem jest, że żyjemy dzisiaj w okresie bezporównania lepszego zorganizowania skrzydeł skrajnych, niżeli ośrodków o charakterze — jakkolwiek to nazwiemy — centrowym, czy stabilizacyjnym. Również faktem jest, że na ogólny układ naszych stosunków wewnętrznych, w sposób wysoce komplikujący sytuację, wpływa

cały szereg momentów natury personalnej i taktycznej, nad którymi nie łatwo jest przejść do porządku dziennego. Nie to jednak jest najważniejsze, jeśli chodzi o ocenę wewnętrznego niepokoju i nerwowości, jakie dają się zauważyć w całości naszego życia politycznego ostatniego okresu.

Najważniejszym momentem jest tutaj inne zjawisko, fakt, że w niektórych ośrodkach skrajnych naszego życia politycznego, przeważnie zresztą w ośrodkach skrajnych o typie myślenia nacjonalistyczno-wstecznym, rozwija się od pewnego czasu w sposób dość swobodny i nie bez wpływu doświadczeń zagranicznych, najbardziej niebezpieczna dla spokoju wewnętrznego doktryna, według której najwyższym i dostatecznym wyrazem mądrości politycznej i ducha patriotycznego jest umiejętność wybrania chwili skoczenia przeciwnikowi politycznemu do gardła, umiejętność wyzbycia się wszystkiego, co w pewnym żargonie politycznym nazywa się skrupulanctwem i niedołęstwem, a co jest w gruncie rzeczy niczym innym, jak tylko przestrzeganiem w życiu politycznym normalnych zasad etyki i rycerskości.

Doktryna ta — jak powiedzieliśmy — nie jest wynalazkiem polskim. Występowała ona, w mniej czy bardziej określonej postaci, w ostatnim okresie w różnych państwach Europy. W większości państw, w szczególności w państwach o zdrowszym ustroju społeczno - gospodarczym, czy też o większej odporności, wynikającej z głębszych podstaw etycznych, czy też z bardziej wyrobionych obyczajów politycznych — została przezwyciężona i odrzucona dość łatwo. W innych, w szczególności w państwach o ustroju totalistycznym, weszła w skład pewnego światopoglądu, jako jego czynnik wtórny i pomocniczy. W Polsce, w sposobie rozumienia niektórych grup, ma ona być podstawą politycznej mądrości, ma być niejako — sama w sobie — namiastką światopoglądu i programu, uzasadnieniem prawa do wyłączności reprezentowania interesów państwowych i narodowych.

Nie będziemy zajmowali się tutaj polemiką z tak uproszczonym sposobem pojmowania sprawy. Jeśli jednak zastanawiamy się nad czynnikami przejawiającego się ostatnio w stosunkach wewnętrzno-politycznych niepokoju, to nie możemy pominąć milczeniem faktu, że źródeł tego niepokoju — zarówno po lewej, jak po prawej stronie społeczeństwa — w dużej mierze szukać należy w swobodzie rozwoju i uzewnętrzniania się tego rodzaju doktryn.

Znaczenie tej sprawy dla całości naszego życia w najbliższym przynajmniej okresie jest zupełnie zasadnicze. Dzisiaj stoimy na pewnym rozstaju. Mamy do wyboru dwie drogi. Te dwie drogi u nas oznaczają coś więcej, niżeli tylko wybór pomiędzy totalizmem i taką, czy inną formą demokracji. To jest równocześnie zagadnienie wyboru pomiędzy dwiema metodami regulowania wewnętrznych spraw dzisiaj i zapewne w przyszłości, to jest pomiędzy dążeniem do oparcia naszych stosunków wewnętrznych na zdolności do dokonywania wewnętrznych przemian w oparciu o normy ustrojowo - prawne, czy też w oparciu o coś w rodzaju dawnej konfederacji, o zorganizowany dla celów walki wewnętrznej czynnik grupowej siły.

Jesteśmy zdecydowanymi zwolennikami formy pierwszej. Zdajemy sobie sprawę, że w niektórych wypadkach może ona stwarzać nawet sytuacje trudniejsze, przede wszystkim zaś, że wymaga ona ogromnej pracy organizacyjno-politycznej, obejmującej swoim działaniem najszersze masy społeczeństwa i przepalającej te masy wielkim poczuciem nadrzędności interesów państwowych i narodowych, nadrzędności wymagań polskiej racji stanu w stosunku do wszystkich interesów grupowych, czy klasowych. Lecz ta właśnie praca nad wytwarzaniem poczucia nierozerwalnego związku pomiędzy całością społeczeństwa i interesami państwa jest w dzisiejszym momencie najważniejszym bodaj nakazem rozumu politycznego, znajdującego swój punkt wyjścia w trosce o przyszłość Polski. Natomiast wszelkie dążenia o charakterze „liberum conspiro" przeciwko własnemu Państwu, czy własnemu społeczeństwu, wszelkie roszczenia pretensji do wyłączności reprezentacji myśli patriotycznej, a stąd i wyłączności prawa przemawiania za Polskę, kierowania sprawami polskimi, zdobywania władzy nad Polską, chociażby w drodze przemocy, wszelkie tego rodzaju metody anarchizowania naszego życia i naszych obyczajów politycznych — muszą być zdecydowanie usuwane z naszego życia politycznego.

Raz już przeszliśmy rewolucję krwawą. Przeszliśmy ją w warunkach wyjątkowo dojrzałych do wkroczenia czynnika siły, bo przy szczególnie daleko posuniętym rozkładzie poprzedniej formy ustrojowej. Równocześnie ów czynnik siły, który w danym momencie wziął na siebie odpowiedzialność za nowy stan rzeczy, był czynnikiem szczególnej wprost syntezy zarówno siły materialnej, jak moralnej. W rezultacie przebieg wypadków rewolucyjnych był wyjątkowo szybki, skoncentrowany, zwycięstwo całkowite. A jednak i w tym wyjątkowym wypadku nie dało się uniknąć pewnych skutków ujemnych, których likwidacja do dziś jeszcze ciąży nad całością życia polskiego.

Analizując dzisiejszą sytuację wewnętrzną w Polsce, analizując w szczególności te nastroje niepokojów i zdenerwowania, o których mówiliśmy na wstępie, można by niewątpliwie znaleźć pewną analogię do nastrojów i zdenerwowania, jakie przejawiały się w społeczeństwie w końcu roku 1925 i w 1926. Jednakże jest jedna różnica zasadnicza. W roku 1926 mieliśmy tego rodzaju ustrój państwowy, przy którym wszelkie niedomagania form i treści naszego życia organizacyjno - politycznego odbijały się bezpośrednio na życiu państwowym w postaci paraliżowania wszystkich ośrodków decyzji i woli w Państwie. Dzisiaj to niebezpieczeństwo nie jest tak duże. I stąd takie czy inne niedomagania życia politycznego w kraju mogą być traktowane z bezporównania większym spokojem, co jednak nie znaczy, by mogły być zlekceważone.

Nie łudźmy się, jak stara się to przedstawić — i to przeważnie dość nieszczerze — pewna część naszych ugrupowań partyjno - politycznych, by radykalnym rozwiązaniem wszystkich trudności i kłopotów wewnętrznych w kraju mogło być najszybsze rozwiązanie dzisiejszych izb parlamentarnych i rozpisanie nowych wyborów. Równocześnie jednak nie zamykajmy oczu na fakt, że w pewnej nienormalnej jednostronności dzisiejszych izb leży przyczyna faktu, że w tak niedostatecznej mierze są one tym, czym być powinny, to jest naturalnym terenem zogniskowania i wyładowania się istotnych zorganizowanych sił politycznych kraju. Toteż jednym z najważniejszych postulatów chwili dzisiejszej powinno być tego rodzaju planowe działanie na układ stosunków politycznych w kraju, by przyszłe izby mogły w największej mierze połączyć w sobie obie najistotniejsze cechy zdolnego do pozytywnej pracy parlamentu, to jest być najdokładniejszym odbiciem układu sił i dążeń politycznych społeczeństwa, a równocześnie posiadać maksymalne poczucie odpowiedzialności za zdrowy układ i rozwój stosunków państwowych.

Jak to osiągnąć? — Powracamy tutaj do rozwijanego już wielokrotnie poglądu, to jest do konieczności położenia nacisku na uzupełnienie struktury życia politycznego Polski przez wytężoną pracę nad rozwojem obozu o wyraźnym charakterze ideowo-politycznym, opartego o bezwzględne uznanie nadrzędności interesów państwowo-narodowych, przy równoczesnej zdolności do zbliżenia i związania z Państwem najszerszych mas polskiego włościaństwa i polskiego świata pracy. Rolę tę mógł i może wypełnić Obóz Zjednoczenia Narodowego. Jednakże wypełnienie jej wymaga takiego sformułowania charakteru i dążeń Obozu, które by uczyniło go zdolniejszym do aktywności politycznej, przede wszystkim zaś zerwania z tezą, że można równocześnie dążyć w kilku kierunkach, przybliżając się mimo to do zamierzonego celu.

Punktem wyjścia dążeń politycznych w społeczeństwie polskim najbliższego okresu musi być szczególnie żywa troska o utrzymanie równowagi nerwów, o regulowanie wszelkich spraw wewnętrznych w sposób niewstrząsający stabilizacją naszych stosunków państwowych. Może to być osiągnięte przede wszystkim przez wyrzeczenie się dobrowolne, czy pod przymusem państwowym, wszelkich tendencji do osiągania rezultatów politycznych w drodze gwałtu. A równocześnie musi to być połączone z budzeniem osłabionego w wysokim stopniu poczucia, że zdolność osiągania trwałych i wartościowych rezultatów wymaga zawsze czegoś więcej, niżeli tylko pewności siebie, czy też braku skrupułów w zakresie wybieranych dróg i środków.

Władysław Mazurkiewicz

Dążenia Roosevelta

Dnia 5 października Prezydent Roosevelt wygłosił w Chicago wielką mowę polityczną, poświęconą polityce zagranicznej Stanów. W dwa dni potem Departament Stanu w Waszyngtonie, nawiązując do rezolucji ogólnego zgromadzenia Ligi z dnia 6 października, opublikował deklarację dotyczącą stanowiska Stanów w obecnym konflikcie zbrojnym japońsko - chińskim -- deklarację, mającą ścisły związek z mową Prezydenta. Wreszcie, z okazji zwołania nadzwyczajnej sesji Kongresu, Roosevelt wygłosił ponownie przemówienie, w którym między innymi wyjaśnia dodatkowo powody, jakie skłoniły go do zajęcia stanowiska, wyrażonego w mowie z dnia 5 października.

Powyższe wystąpienia są niewątpliwie doniosłym wydarzeniem w polityce międzynarodowej, w szczególności jest nim mowa Roosevelta wygłoszona w Chicago. — Prezydent Stanów charakteryzuje w niej sytuację międzynarodową, jako panowanie terroru i bezprawia. Początkiem tego były nieusprawiedliwione wtrącania się w wewnętrzne sprawy innych narodów, inwazja obcych terytoriów wbrew traktatom. Obecnie jednak, mówi Roosevelt: „same podstawy cywilizacji są poważnie zagrożone. Bez wypowiedzenia wojny, bez uprzedzenia, ludność cywilna, w tej liczbie dzieci i kobiety, mordowane są bombami rzucanymi z samolotów. W czasie tzw. pokoju okręty są atakowane i zatapiane przez łodzie podwodne. Jeśli — woła Prezydent — rzeczy te mają miejsce w innych częściach świata, to trudno sobie wyobrazić, ażeby Ameryka mogła się od nich uchronić i żyć w dalszym ciągu w spokoju". Prezydent przestrzega przed nawałnicą wojenną, która zniszczy wszystkie kwiaty kultury i pogrąży świat w chaosie. „Jeśli dni te nie mają nadejść, to jest rzeczą konieczną, ażeby wszystkie miłujące pokój narody uczyniły zgodny wysiłek podtrzymania praw i zasad, na których może się oprzeć pokój". Miłujące pokój narody muszą zdobyć się na ów zgodny wysiłek, w przeciwstawieniu do pogwałceń traktatów, w przeciwstawieniu do tych, którzy wywołują dzisiejszy stan anarchii międzynarodowej i niepewności, od którego nie ma ucieczki przez izolowanie się lub neutralność. Ci, którzy kochają własną wolność i szanują prawa sąsiadów, powinni działać wspólnie, ażeby na świecie zapanowały pokój, sprawiedliwość i zaufanie. Jest nieodzowne uznanie faktu, iż moralność w stosunkach między narodami jest równie ważna, jak moralność w stosunkach prywatnych.

W dalszym ciągu podkreśla Roosevelt solidarność i wzajemną zależność w świecie współczesnym, która czyni niemożliwym dla jakiegokolwiek narodu całkowite izolowanie się pod względem politycznym i ekonomicznym od reszty świata. „Anarchia międzynarodowa niszczy wszelkie fundamenty pokoju". Jest żywotnym interesem Stanów Zjednoczonych, ażeby świętość traktatów międzynarodowych i panowanie moralności międzynarodowej zostały przywrócone. 90% ludności na świecie chce żyć w spokoju — te 90% może i **musi** znaleźć sposób, ażeby przeprowadzić swoją wolę.

Nie chodzi tu tylko o gwałcenie poszczególnych traktatów, lecz o sprawy pokoju i wojny, o zasadnicze sprawy ludzkości. Obok tego, że gwałcone są umowy, w szczególności pakt Ligi Narodów, pakt Briand—Kellog i traktat 9 państw, wchodzą tu w grę sprawy ekonomii światowej, światowego bezpieczeństwa i ludzkości.

Poczucie moralne świata powinno uznać potrzebę usunięcia niesprawiedliwości i zaspokojenia uzasadnionych pretensji, lecz pod warunkiem poszanowania traktatów, praw i swobód innych i zaprzestania aktów agresji.

Roosevelt porównywa dzisiejszy stan bezprawia z epidemią choroby, przeciwko której stosowana jest kwarantanna.

Jestem zdecydowany — mówi — prowadzić politykę pokoju i użyć wszystkich praktycznych środków dla uchronienia kraju przed wciągnięciem go w wojnę. Wojna jednak jest zaraźliwa i może objąć państwa i kraje najbardziej oddalone od miejsca, gdzie wybuchła. Jesteśmy zdecydowani trzymać się z dala od wojny, nie możemy jednak mieć pewności, że uchronimy się sami przed katastrofalnymi rezultatami wojny i niebezpieczeństwem, ażeby nie być w nią wciągniętym.

Ameryka nienawidzi wojny, Ameryka pragnie pokoju. Dlatego też Ameryka jest zaangażowana aktywnie w poszukiwaniu pokoju — tymi słowy zakończył Roosevelt swoje przemówienie.

W mowie z dn. 12 października Roosevelt, tłumacząc wobec opinii publicznej amerykańskiej stanowisko zajęte w mowie chicagowskiej, zaznaczył, że Prezydent musi mieć na względzie przede wszystkim interesy państwa i musi umieć przewidywać, musi starać się zabezpieczyć kraj od wojny nie tylko w chwili obecnej, lecz i myśleć o tym, jak uchronić od niej przyszłe pokolenia. Poszukujemy pokoju nie tylko dla siebie, ale i dla naszych dzieci. Chcę — mówił Roosevelt — ażeby wielka demokracja amerykańska zrozumiała, iż ignorowanie wojny nie jest wystarczające, ażeby się od niej zabezpieczyć: nie wystarczy pragnąć pokoju, trzeba aktywnie doń dążyć. Prezydent zakomunikował też o decyzji rządu wzięcia udziału w konferencji 9 państw, sygnatariuszy traktatu zawartego w Waszyngtonie w 1922 r. — zwołanej z inicjatywy Ligi Narodów, której celem jest znalezienie wyjścia z sytuacji, jaka się wytworzyła w Chinach.

Deklaracja Departamentu Stanu z dn. 7 października podkreśla zasady, jakimi państwa powinny kierować się w swych stosunkach międzynarodowych: mianowicie nie uciekanie się do siły, nie wtrącanie się w sprawy wewnętrzne innych państw, załatwianie sporów drogą układów pokojowych, poszanowanie praw innych narodów, ścisłe przestrzeganie zobowiązań międzynarodowych i wzmocnienie zasady świętości traktatów. Deklaracja powołuje się na mowę Prezydenta z dnia 5 października, który rozwinął wspomniane wyżej poglądy i stwierdza, że postępowanie Japonii w Chinach jest niezgodne z zasadami, jakie powinny panować w stosunkach międzynarodowych, sprzeczne z traktatem 9 państw i z paktem Briand—Kellog. W tym stanie rzeczy, konkluduje deklaracja, stanowisko rządu Stanów dotyczące Chin, jest zasadniczo zgodne ze stanowiskiem zajętym przez Ligę Narodów.

Dla zdania sobie sprawy z właściwego znaczenia wystąpienia Roosevelta należy mieć na względzie, że Roosevelt przemawiał przede wszystkim do narodu amerykańskiego, który chce pozyskać dla swych idei.

Pomimo faktu, iż Roosevelt został obrany powtórnie Prezydentem olbrzymią większością głosów, osobiste jego poglądy w dziedzinie polityki międzynarodowej, a raczej metod, jakie należy stosować, nie zawsze pokrywają się całkowicie z opinią większości amerykańskiej.

Przeciętny Amerykanin interesuje się bardzo mało polityką zagraniczną, zaś chaos panujący w stosunkach europejskich, gwałcenie traktatów, antydemokratyczne reżimy i prądy w szeregu krajów, wreszcie, co najważniejsza, odmowa państw europejskich spłacania długów wojennych — wszystko to zniechęciło go zupełnie do problemów polityki zagranicznej i utrwaliło pogląd, że najlepszą rzeczą dla Ameryki jest trzymanie się z daleka od spraw, bezpośrednio jej nie obchodzących.

Te poglądy izolacyjne są niewątpliwie znacznie silniejsze, o ile chodzi o Europę, niżeli o kraje Dalekiego Wschodu, aczkolwiek wśród skrajnych zwolenników izolacji, których ilość bynajmniej nie jest tak mała, dają się słyszeć zdania, iż Stany Zjednoczone winny interesować się tylko bezpieczeństwem własnego terytorium, Kanału Panamskiego, Alaski i Hawai, wszystko zaś inne, nie wyłączając Filipin i spraw Dalekiego Wschodu, nie należy do

żywotnych interesów amerykańskich, których obrona mogłaby spowodować konflikty zbrojne.

Najsilniejszym objawem tej polityki izolacji i chęci odgrodzenia się od wszelkich konfliktów i działań wojennych jest uchwalona ostatnio (po raz trzeci) dnia 29 kwietnia 1937 r. ustawa o neutralności, której cechą charakterystyczną, jak wiadomo, jest nierozróżnianie pomiędzy napastnikiem i napadniętym i nałożenie embargo, w razie stwierdzenia przez Prezydenta, że istnieje stan wojenny pomiędzy dwoma lub więcej krajami, na amunicję, broń i sprzęt wojenny, przeznaczony do któregokolwiek z krajów, będących w wojnie. Ustawa ta, która zabrania również obywatelom amerykańskim podróżowania na statkach stron wojujących, jest sprzeczna z dotychczasową tradycyjną polityką Stanów obrony swobody mórz i stanowi jedną z zasadniczych różnic w ujmowaniu problemów międzynarodowych pomiędzy Stanami a państwami należącymi do Ligi, w tej liczbie również krajami Ameryki łacińskiej, co uwydatniło się szczególnie wyraźnie podczas zeszłorocznej konferencji międzyamerykańskiej w Buenos Aires.

Otóż o ile Roosevelt zgodny jest z poglądami ogromnej większości narodu amerykańskiego co do unikania wszystkiego, co by mogło wplątać Stany Zjednoczone w wojnę, o tyle zapatrywania jego na środki wiodące do tego celu są niekiedy odmienne. Podczas gdy opinia publiczna amerykańska objawia tendencję do stanowiska pasywnego, Roosevelt — od chwili gdy został ponownie wybrany Prezydentem — stał się aktywnym szermierzem pokoju.

Pierwszą rzeczą, jaką Roosevelt uczynił po swym powtórnym obiorze, było osobiste zjawienie się na konferencji w Buenos Aires, zwołanej zresztą z jego inicjatywy, jako konferencji konsolidacji pokoju, której jednym z celów, w zrozumieniu Prezydenta Stanów, było stworzenie wspólnego frontu amerykańsko - demokratyczno - pokojowego przez państwa niepodległe tego kontynentu.

W słynnej mowie wygłoszonej w Buenos Aires, z okazji otwarcia Kongresu, oświadczył on między innymi: „Naszym zamiarem jest zapewnić trwałość błogosławieństwa pokoju". Zwracając się do narodów po drugiej stronie oceanu Roosevelt zaznaczył: „Po drugiej stronie oceanu widzimy kontynenty rozdarte przez dawne pretensje i nowe fanatyzmy. Słyszymy wołania, ażeby niesprawiedliwości i nierówności ustąpiły miejsca nie drogą rozsądku i pokojowej sprawiedliwości, lecz siłą oręża. Słyszymy, iż tylko przez zdobycze można osiągnąć nowe rynki. Czytamy, iż nie bierze się pod uwagę świętości traktatów pomiędzy państwami. Wszystko to — zdaniem Roosevelta — może doprowadzić do wojny i aczkolwiek my, Amerykanie, nie bylibyśmy wplątani w wojnę, będziemy tym niemniej cierpieli. Szaleństwo wojny w innych częściach świata dotknęłoby i zagroziło w tysiączny sposób naszemu dobrobytowi".

Czy Ameryka może dopomóc staremu kontynentowi do uniknięcia tej katastrofy? „Tak — oświadcza Roosevelt — jestem pewny, że możemy". Przede wszystkim przez umocnienie rządów demokratycznych i konstytucyjnych. Kraje amerykańskie powinny pokazać, iż są zdecydowane przeciwstawić agresji ze strony innych narodów, działających pod wpływem szaleństwa wojennego lub żądzy zwiększenia terytorium, swą zbiorową wolę w kierunku porozumienia się co do swego bezpieczeństwa i wzajemnego dobrobytu.

Tak więc, mając na względzie, obok ogólnych względów humanitarnych, zgodnie z cechującą go szlachetnością charakteru i szerokim ujmowaniem problemów, przede wszystkim też interesy swego kraju, którego rozwój i dobrobyt wymaga utrzymania pokoju w świecie, Roosevelt podejmuje w pierwszym rzędzie na terenie Ameryki akcję, mającą na celu skonsolidowanie pokoju. Aczkolwiek na razie ograniczona terytorialnie, akcja ta, jak świadczą słowa Roosevelta o potrzebie dopomożenia staremu kontynentowi, może stać się punktem wyjścia do dalszych zamierzeń. Zresztą w połowie r. 1936, jeszcze przed ponownym wyborem Roosevelta, „New-York Times" opublikował artykuł, w którym była mowa, iż po ponownym wyborze Roosevelt nosi się z myślą zwołania konferencji wszystkich głów państw w celu utrwalenia pokoju.

Różnica w poglądach Roosevelta na metody polityki międzynarodowej a opinią publiczną amerykańską uwydatniła się szczególnie przy uchwalaniu jeszcze w roku 1935 wspomnianej wyżej ustawy o neutralności. Żądał on wówczas od Kongresu przyznania Prezydentowi prawa określenia, kto jest napastnikiem, kto napadniętym, co siłą rzeczy pociągnęłoby za sobą odmienny sposób traktowania obu stron wojujących, zależnie od tego, kto byłby uznany za napastnika. To jednak żądanie Roosevelta, rozumiejącego potrzebę przeprowadzenia granicy pomiędzy państwami zakłócającymi pokój, a tymi, które tego pokoju pragną, zostało przez Kongres odrzucone.

Dalej myśl co do solidarności i współzależności wszystkich państw świata, wypowiedziana w tak zdecydowanej formie w przemówieniu z dn. 5 października i stanowiąca jeden z momentów kulminacyjnych tego przemówienia, nie jest czymś nowym w ujmowaniu problemów polityki zagranicznej przez Prezydenta Stanów. Moment ten podkreślony już jest w oświadczeniu Hulla z dn. 16 lipca r. b., zawierającym zasadnicze linie polityki amerykańskiej. W oświadczeniu tym, mianowicie, Hull zaznaczył, że każdy konflikt, w każdej części świata, zawiera w sobie ryzyko dla spraw i interesów wszystkich narodów. Z tej zależności wzajemnej wynika potrzeba dla wszystkich państw ustanowienia zapory dla ich akcji międzynarodowej przez nie uciekanie się do siły, nie mieszanie się w wewnętrzne sprawy innych, załatwianie konfliktów drogą pokojową i utrzymanie świętości traktatów. Jesteśmy przeciwni — twierdził Hull — zawieraniu przymierzy lub przyjmowaniu zobowiązań, które by nas krępowały, wierzymy jednak we wspólne wysiłki przy użyciu środków pokojowych i praktycznych dla podtrzymania zasad, jakie wypowiedzieliśmy w tej deklaracji.

Te idee przewodnie w myśleniu politycznym Roosevelta, które odnajdujemy już w poprzednich przemówieniach czy deklaracjach, a także w jego postępowaniu, zostały tym razem wypowiedziane w sposób szczególnie mocny, wyraźny, szczery i nie budzący żadnych wątpliwości. Najważniejsze z nich — to stwierdzenie współzależności pomiędzy państwami i niemożności izolowania się, poza tym apel (czyli podjęcie inicjatywy) zwrócony do wszystkich państw miłujących pokój i przeciwstawienie ich tym samym państwom ten pokój zakłócającym (a wiadomo kogo Roosevelt ma tu na myśli), ażeby zdobyły się na wspólny wysiłek, mający zagwarantować pokój i nie dopuścić do jego zakłócenia.

W pierwszym więc rzędzie chodzi o oddziałanie na szerokie masy społeczeństwa amerykańskiego, aby nabrały tego przeświadczenia, które jest udziałem samego Prezydenta, iż współzależność pomiędzy państwami świata dzisiaj jest tak ścisła, że odwracanie się tyłem do reszty świata, zachowanie stanowiska pasywnego jest przede wszystkim ze szkodą dla interesów Stanów i może doprowadzić do jak najgorszych konsekwencji.

Jednym z głównych celów Roosevelta jest więc obudzenie czujności własnego społeczeństwa. Wskazują na to początkowe ustępy mowy chicagowskiej. „Lud Stanów Zjednoczonych — mówi Prezydent — powinien przez wzgląd na swą własną przyszłość pomyśleć o reszcie świata". Wojna jest zaraźliwą — mówi dalej — może ogarnąć najdalsze kraje.

Jeszcze silniej jest to podkreślone w drugiej mowie, spowodowanej między innymi głosami zaniepokojenia, jakie odezwały się — i to bardzo licznie — w Stanach, jakoby Prezydent chciał wciągnąć Stany w wir konfliktów światowych: „Chcę, ażeby wielka demokracja amerykańska zrozumiała, iż ignorowanie wojny nie jest zabezpieczeniem przed nią. Trzeba aktywnie dążyć do pokoju".

Chodzi zatem o przekonanie opinii publicznej amerykańskiej, ażeby nie dała się powodować krótkowzrocznością, lecz zrozumiała, że własny dobrze zrozumiany interes amerykański, nie tylko względy humanitarne, zmuszają Amerykę do zwrócenia uwagi na to, co się dzieje na innych kontynentach i wzięcia czynnego udziału w utrwaleniu pokoju w świecie.

Nie ulega wątpliwości, że Roosevelt, w zgodzie z całą Ameryką, nie chce wplątać jej w wojnę i że w razie wybuchu wojny

w Europie, czy też gdzie indziej, będzie się starał wszelkimi siłami, ażeby Ameryka pozostała poza działaniami wojennymi. Dlatego też byłoby najzupełniej błędne dopatrywanie się w mowie Roosevelta gotowości do powzięcia jak najdalej idących decyzji, a nawet użycia siły zbrojnej. Tak absolutnie nie jest. Zdając sobie jednak sprawę z współzależności państw świata i z olbrzymich interesów ekonomicznych, jakie posiadają Stany Zjednoczone na całym świecie, Roosevelt rozumie to, czego może dostatecznie nie rozumie przeciętny Amerykanin, że może nastąpić taki moment, gdy udział Stanów Zjednoczonych w wojnie, pomimo wszystko, stanie się koniecznością. Cóż więc należy robić, ażeby do tego nie dopuścić? Należy — i to jest druga idea przewodnia w mowie Roosevelta, wynikająca z owej współzależności pomiędzy państwami świata — dążyć do porozumienia się, stworzenia niejako wspólnego frontu wszystkich państw zainteresowanych w utrzymaniu pokoju, ażeby te, rzucając na szalę swoje wpływy (nie uciekając się do siły zbrojnej, być może jednak do presji nawet ekonomicznych) nie dopuściły do wybuchu wojny, przeprowadziły, jak mówi Roosevelt — swą wolę i utrwaliły panowanie prawa pomiędzy narodami. Występuje więc tu Roosevelt z pewną inicjatywą, którą można by porównać z inicjatywą paktu Briand—Kellog a przed tym jeszcze zwołaniem w r. 1921 konferencji ograniczenia zbrojeń morskich do Waszyngtonu — w danym wypadku jednak inicjatywa ma charakter bardziej ogólnikowy i bardziej ogólny.

Nie znaczy to, ażeby Roosevelt gotów był do wzięcia udziału w tzw. umowach bezpieczeństwa kolektywnego, chodzi o stały kontakt, o porozumienia ad hoc, o porozumienia, o których mówi Hull w swoim oświadczeniu z dnia 16 lipca. Chodzi dalej o to, ażeby naród amerykański poparł Roosevelta w dążeniu do tych porozumień, z drugiej zaś strony, co pośrednio zdaje się wynikać z mowy Roosevelta, ażeby opinia publiczna amerykańska nabrała przeświadczenia o konieczności zmiany uchwalonej kilka miesięcy temu ustawy o neutralności, idącej w poprzek polityce rozróżniającej pomiędzy burzycielami pokoju a tymi, którzy do pokoju dążą.

Przemówienie Roosevelta jest też obliczone niewątpliwie na wywarcie silnej presji moralnej w stosunku do państw, które przeciwstawiają się głoszonym przezeń zasadom, i gwałcą traktaty, których świętość i nienaruszalność Roosevelt tak mocno podkreślił. Jest ono też poparciem dla polityki Anglji i Francji w jej dążeniu do zlikwidowania czynnej interwencji niektórych państw w Hiszpanii. Tym razem Roosevelt, który dał od samego początku swej prezydentury wielokrotne dowody poszanowania suwerenności państw łacino-amerykańskich, mógł śmiało wystąpić z zasadą nie mieszania się w wewnętrzne sprawy innych państw.

O tym, że mowa Roosevelta miała na myśli w chwili obecnej w pierwszym rzędzie Japonię, świadczy, obok szeregu ogólnych aluzji, również fakt, że wyraźnie wspomina o pogwałceniu zawartego w r. 1922 w Waszyngtonie traktatu 9 państw. Nie byłoby, zdaniem moim, słuszne twierdzenie, że Roosevelt dopiero teraz, gdy w grę wchodzą bezpośrednie interesy Stanów na Dalekim Wschodzie, potępił gwałcenie traktatów i wprowadzanie anarchii w stosunki międzynarodowe, albowiem, jak to już zaznaczyłem wyżej, poglądy te były czy to przez niego, czy przez Hulla, wypowiadane już poprzednio. Nie ulega jednak wątpliwości, że wybrał on moment obecny, ażeby zwrócić uwagę narodu amerykańskiego na niebezpieczeństwa, których naród ten nie dostrzega. Roosevelt zdaje sobie sprawę, że przeciętny Amerykanin lepiej rozumie interesy amerykańskie na Dalekim Wschodzie niż w Europie. Jest to więc moment propagandowo odpowiedni, by idee Roosevelta przeniknęły łatwiej do szerokich mas społeczeństwa amerykańskiego i by podjęte ewentualnie w porozumieniu z innymi państwami kroki spotkały się ze zrozumieniem i poparciem opinii publicznej amerykańskiej. Jest to więc chwila odpowiednia dla zadania ciosu polityce skrajnej izolacji, która zaczęła zdobywać sobie coraz więcej zwolenników.

Z drugiej strony Roosevelt, który docenia ważność interesów amerykańskich na Dalekim Wschodzie i zdecydowany jest bronić zasady polityki amerykańskiej: utrzymania integralności terytorium chińskiego i polityki otwartych drzwi — uważał za konieczne przemówić w formie zdecydowanej i niezwykle energicznej, ażeby zmusić do zastanowienia Japonię i przestrzec ją przed zbyt ryzykownymi krokami, nie liczącymi się z interesami Stanów. Wyciąganie jednak wniosku, że Roosevelt gotów byłby do ewentualnej akcji zbrojnej na Dalekim Wschodzie, nie wydaje mi się możliwe, tym bardziej, że Stany Zjednoczone mają w swoim ręku tyle możliwości oddziałania, szczególnie na gruncie ekonomicznym, że mogłyby i bez zbrojnego wystąpienia wywrzeć presję na Japonię, której zresztą zależy na utrzymaniu dobrych stosunków ze Stanami.

Nie trzeba zapominać, że już w r. 1932, podczas inwazji japońskiej w Mandżurii, Stimson wystąpił (jak twierdzą Japończycy w sposób bardziej stanowczy niż obecnie) z żądaniem nie uznania żadnego naruszenia całości terytorium Chin, jako dokonanego w sprzeczności z traktatem 9 państw. To wystąpienie spotkało się wówczas z chłodnym przyjęciem ze strony W. Brytanii, w konsekwencji wszakże doprowadziło do współpracy Stanów z Ligą Narodów — współpracy, która zapowiada się i dzisiaj. To, czego Roosevelt nie powiedział wyraźnie, dopełnił, powołując się na jego przemówienie, Departament Stanu, który stwierdził pogwałcenie przez Japonię traktatu 9 państw i paktu Brianda—Kelloga i zarazem podkreślił swoją zgodność z poglądem Ligi. Mowa Roosevelta dnia 5 października, wygłoszona w momencie powzięcia przez ogólne zgromadzenie Ligi rezolucji w sprawie konfliktu japońsko - chińskiego, była też udzieleniem poparcia tym czynnikom Ligi, które dążyły do zaprotestowania przeciwko akcji japońskiej. Jak pisze „Temps", mowa ta przyczyniła się do szybkiego uchwalenia kompromisowej zresztą rezolucji.

Decyzja Stanów Zjednoczonych wzięcia udziału w konferencji 9 państw, jaka ma się zebrać w Brukseli, jest oczywiście logicznym wynikiem stanowiska zajętego przez Prezydenta.

Stany Zjednoczone w swojej polityce przechodziły już okresy daleko idącej izolacji, po których następowały okresy współpracy z Europą, czego punktem kulminacyjnym był udział w Wielkiej Wojnie, po wojnie zaś pakt Brianda—Kelloga i udział Stanów w niektórych poczynaniach Ligi. Można więc przypuszczać, że przemówienie Roosevelta inicjuje nowy okres bliższej współpracy z Europą, w jakim stopniu jednak — to już zależy od ewentualnej ewolucji stosunku opinii amerykańskiej do roli Stanów w świecie.

Adres Redakcji i Administracji
Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 6.09.70

Fakt doniosły i pozytywny

WSPÓLNA DEKLARACJA HARCERSTWA, STRZELCA I CENTRALNEGO ZWIĄZKU MŁODEJ WSI

Naczelne władze Związku Harcerstwa Polskiego, Związku Strzeleckiego i Centralnego Związku Młodej Wsi podpisały w dniu 14-ym b. m. wspólną deklarację następującej treści:

— Związek Harcerstwa Polskiego, którego Patronem jest Józef Piłsudski, Związek Strzelecki, powołany do życia przez Wielkiego Marszałka oraz Centralny Związek Młodej Wsi, będący kontynuacją Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej, którego Protektorem był Pierwszy Marszałek Polski — deklarują:

1) Że we wszystkich swych poczynaniach kierować się będą myślą polityczną i wychowawczymi wskazaniami zmarłego Wodza:

2) Solidaryzując się z hasłem konsolidacji energii narodowej, rzuconym przez Marszałka Śmigłego-Rydza, oświadczają, że młodzieży należy jasno i wyraźnie postawić ten wspólny cel, do jakiego zdąża cały naród polski, tj. budowę w pracy potęgi kulturalnej, gospodarczej, politycznej i militarnej Państwa Polskiego. Szanując w jej duszy wszystkie prawa młodości, które łączą się z romantyzmem, wiarą, zdolnością do poświęceń i entuzjazmu, będziemy starać się o to, by młodzież nasza:

a) uznała za podstawę swego życia prawdę, polegającą na zgodności haseł z czynem, oraz na tej prawdzie, że ideologia nie jest tylko systemem myślenia, ale i działania,

b) by hartowała swą wolę, zaprawiała swój umysł i ciało oraz posiadła te wszystkie umiejętności, które tworzą niezbędne przesłanki jej rzetelnej i mądrej przyszłej pracy,

c) by znając i kochając swój kraj, przeszłość narodową i jej bohaterów, rozbudziła w sobie szlachetną ambicję takiego twórczego wysiłku, który by dźwigał Polskę do pierwszych szeregów państw i narodów, a imię polskie otoczył ogólnym szacunkiem,

d) by radość życia czerpała z pokonywania przeszkód i zasłużonych zwycięstw,

e) by w całym swym działaniu umiała zachować cechę szlachetnej rycerskości, która jest znamieniem ludzi naprawdę silnych, a honor swój — zgodnie ze wskazaniem Józefa Piłsudskiego — znajdowała w dobrej i uczciwej służbie Ojczyźnie.

Odrzucając w naszym systemie wychowawczym światopoglądy materialistyczne, jako obniżające polot duszy ludzkiej i jej tęsknoty za dobrem i pięknem, opierać będziemy wychowanie naszej młodzieży o niezłomne zasady etyki chrześcijańskiej oraz o te ideały narodowe i państwowe, których urzeczywistnienie stworzy realną siłę Polski. Licząc się z obecnym układem stosunków i z tymi niebezpieczeństwami, które nam grożą, nie będziemy nastrajać duszy naszej młodzieży na ideały wygodnego kwietyzmu, ale uczucia miłości Ojczyzny chcemy spleść harmonijnie z pojęciem honoru i obowiązku żołnierskiego. Zasadę rozwoju wartościowych cech indywidualnych należy pogodzić z elementem karności i dyscypliny, umożliwiających zwarte i skuteczne działanie zbiorowe.

3) Mając wspólny cel, a zarazem szanując i utrzymując nienaruszalną własną odrębność organizacyjną i metody pracy, postanawiamy skoordynować jednak wysiłki naszych organizacyj w ten sposób, by nie tylko usunąć wszelkie tarcia i zadrażnienia w terenowej robocie, ale zaznaczać wszędzie poczucie ideowego braterstwa oraz wspólnie podejmować te zadania, około których skupiać należy energię całego młodego pokolenia.

4) Aby to osiągnąć, powołujemy do życia międzyzwiązkową komisję porozumiewawczą polskich organizacji młodzieżowych.

Warszawa, dnia 14 paźdz. 1937 r.

(—) Dr M. Grażyński, przewodnicz. Z.H.P., (—) Antoni Olbromski, delegat N.Z.H.P., (—) Fr. Paschalski, prezes Z. G. Z. S., (—) Marcin Frydrych, ppłk. komendant główny Z.G.Z.S., (—) Stanisław Gierat, prezes Centralnego Związku Młodej Wsi, (—) Romuald Tyczyński, sekretarz Centralnego Związku Młodej Wsi.

DEKLARACJA ORGANIZACJI MŁODZIEŻY PRACUJĄCEJ („O. M. P.")

Organizacja Młodzieży Pracującej — wierna wskazaniom duchowego Patrona Józefa Piłsudskiego, posłuszna nakazowi wzmożenia i zjednoczenia energii Narodu Polskiego, w myśl hasła, rzuconego przez Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, a stojąc na gruncie konsekwentnej realizacji swych założeń ideowych i wychowawczych, uchwalonych w dniu 4 października 1936 r. — deklaruje zgodność swych poglądów i dążeń z deklaracją, ogłoszoną w dniu 14 października r. b. wspólnie przez Związek Strzelecki, Związek Harcerstwa Polskiego i Centralny Związek Młodej Wsi oraz przyłącza się do akcji porozumiewawczej, podjętej przez wspomniane organizacje.

Deklarację tę przyjmujemy za najwłaściwszą płaszczyznę dla pracy ideowo-wychowawczej młodego pokolenia polskiego w kierunku wzmożenia Mocy i Potęgi Polski.

W ramach tej współpracy Organizacja Młodzieży Pracującej prowadzić będzie konsekwentnie swą działalność wychowawczą, zmierzającą do podniesienia młodego polskiego Świata Pracy na poziom wymagany przez Dobro Polski.

Opóźnienie w złożeniu podpisu naszej Organizacji pod wspomnianą deklaracją spowodowane zostało jedynie nieobecnością w Warszawie Prezesa Zarządu Głównego Płk. J. Jur-Gorzechowskiego.

(—) Płk. Jan Jur-Gorzechowski, Prezes Zarządu Głównego O.M.P., (—) Antoni Małecki, Prezes Wydziału Wykonawczego O.M.P., (—) Antoni Zalewski, Sekretarz Generalny O.M.P.

* * *

Na marginesie wyżej podanych deklaracji chcemy dodać kilka uwag, dotyczących naszego sposobu patrzenia na ich znaczenie.

Jedną z najbardziej ujemnych stron naszego życia zbiorowego jest ogromna przewaga dążeń i haseł negatywnych. W szczególności dotyczy to zakresu stosunków politycznych, jednakże znajduje odbicie i w innych dziedzinach. W życiu młodzieży, przede wszystkim zaś w życiu młodzieży akademickiej, odbija się to również i to odbija silnie. Negatywizm ten nie znajduje jednak istotnego uzasadnienia w ogólnych warunkach polskich. Jest też rzeczą niezmiernie ważną, by nie wycisnął on w przyszłości swego piętna na życiu następnego pokolenia. Organizacje, które w sposób wyżej podany zamanifestowały łączność swych dążeń, były szczególnie do tego powołane, jako wychowujące szeregi młodzieży w poczuciu nadrzędności celów wspólnych, to jest dążeń do siły i potęgi Polski. A równocześnie były one powołane — ze względu na ich charakter żołnierski i wychowawczy — do przypomnienia i drugiej wielkiej prawdy każdego życia zbiorowego, to jest, że podstawowym założeniem każdej wartościowej pracy zbiorowej musi być troska o szlachetność i poziom etyczny stosowanych w tej pracy metod.

Fakt ten nazwaliśmy doniosłym i pozytywnym. W dobie, w której mówi się wiele o młodzieży i jej przyszłej roli, wydaje nam się niezrozumiałe, że mogą być w Polsce czynniki, które do faktu tego przykładają inną miarę, miarę swej zgryźliwości, podejrzliwości i nieżyczliwości. Wytłumaczenie tego zajwiska można znaleźć tylko we wspomnianym wyżej negatywiźmie, dyktowanym w danym wypadku przez wyjątkowe wprost zaślepienie polityczne i niezdolność znalezienia innego miernika i innego sposobu patrzenia na sprawy.

Lecz w tych warunkach znaczenie tego rodzaju wspólnych haseł, jak zawarte w wyżej przytoczonych deklaracjach, jest tym bardziej pozytywne. Inaczej na tę sprawę patrzeć nie podobna.

Eser

Katolicyzm i komunizm

Walka między chrześcijaństwem, w szczególności katolicyzmem, i komunizmem jest zjawiskiem powszechnie znanym. Już od pierwszych chwil istnienia marksistowskiego ruchu robotniczego zarysował się między nimi głęboki antagonizm. Kościół zarzucał marksizmowi ateizm, marksizm natomiast zarzucał kościołowi wysługiwanie się burżuazji a ponadto aracjonalne stanowisko wobec postępu ludzkiego.

Natężenie tej walki wzrosło niesłychanie silnie po rewolucji październikowej w Rosji, która radykalnie zniosła pozycje kościelne i stanęła w zdecydowany sposób po stronie ateizmu wojującego. W ostatnich czasach następuje dalsze zaostrzenie tej walki, która uzewnętrznia się przede wszystkim w coraz liczniejszych encyklikach Papieża, potępiających komunizm.

Jeżeli jednak jesteśmy obecnie ze strony Rzymu świadkami wzmocnionej akcji antykomunistycznej, to z drugiej strony — i to jest właśnie najciekawsze— komunizm raczej osłabia swe ataki na Kościół i występuje coraz wyraźniej z różnymi usiłowaniami osiągnięcia porozumienia z katolicyzmem, ściślej mówiąc z katolikami.

Dowody takiej zmiany frontu są wielorakie. W samym Związku Sowieckim zrobiono ciekawy gest. Art. 124 nowej konstytucji sowieckiej przewiduje, że „w celu zapewnienia obywatelom wolności sumienia, kościół w Związku Sowieckim jest oddzielony od państwa a szkoła od kościoła. Wolność praktykowania kultów religijnych i wolność propagandy antyreligijnej przysługuje wszystkim obywatelom". Oczywiście można kwestionować wartość praktyczną tego rodzaju wolności wyznań religijnych, niemniej należy stwierdzić, że w porównaniu do poprzedniego stanu, taki artykuł konstytucji stanowi poważny krok naprzód w zakresie tolerancji wyznaniowej, przynajmniej teoretycznie.

Dalszym przejawem tej samej tendencji jest chociażby zachowanie się komunistów w Hiszpanii, którzy, mimo, że oficjalny kościół w olbrzymiej swej większości przyłączył się do obozu generała Franco, domagali się — na wiosnę b. r. otwarcia kościołów.

I znów możemy w tym fakcie dopatrywać się tylko taktycznego wybiegu. Niemniej jednak pozostaje faktem, że komuniści — przynajmniej pozornie — chcą znaleźć płaszczyznę współżycia z katolikami.

Najciekawsze formy przybiera akcja zbliżania się komunistów do katolików we Francji.

Od dłuższego już czasu obserwujemy we Francji coraz silniejszy rozwój organizacji chrześcijańskich komunistów, bądź też takich organizacji katolików, które— jeżeli nawet nie przyznają się otwarcie do swego komunizmu — szczerze współpracują z frontem ludowym, w szczególności z komunistami, którzy — nawet w przeciwieństwie do socjalistów i radykałów, będących zdecydowanymi antyklerykałami — okazują dużo tolerancji ruchowi katolickiemu.

Ponieważ rozwój akcji współżycia komunistów z katolikami daje najwięcej widomych rezultatów we Francji, pozwalamy sobie w niniejszym artykule bliżej omówić to zagadnienie na podstawie obserwacji z terenu Francji, zastrzegając się oczywiście z góry, że ewentualne wnioski, jakie czytelnik wysunie po przeczytaniu tego artykułu, powinny ograniczyć się wyłącznie do stosunków, panujących we Francji.

Przełomowym wydarzeniem w ustosunkowaniu się komunistów do katolików i odwrotnie były słynne słowa Thoreza, sekretarza partii komunistycznej Francji, w okresie kampanii wyborczej do Parlamentu w 1936 r.

Otóż Thorez powiedział co następuje: Wyciągamy do ciebie naszą dłoń, katolicki robotniku, urzędniku i rzemieślniku, my, którzy jesteśmy antyklerykałami (laiques"), ponieważ ty jesteś naszym bratem i ponieważ ty, tak jak my, obarczony jesteś tymi samymi troskami".

Apel ten nie został bez echa. Z obu stron powstała liczna literatura, przyczym jeśli chodzi o obóz katolicki — zdania były podzielone: część opinii katolickiej ustosunkowała się przychylnie do tego wezwania i w dyskusjach prowadzonych publicznie omawiała szczegóły współpracy katolicko-komunistycznej, druga natomiast, zwłaszcza zaś wysoki episkopat, opierający się na encyklikach papieskich, zajął stanowisko krytyczne, zwalczające komunistów, którym zarzuca podstęp i nielojalność.

Jednakże samo wytworzenie tego rodzaju płaszczyzny dyskusji powinno zachęcić do rozpatrzenia sprawy, na jakich zasadach ideologicznych mogło dojść do częściowej przynajmniej współpracy między komunistami i katolikami we Francji, następnie zaś, jakie pozostają kwestie otwarte lub sporne. Problem ten przedstawiony został w szczegółowy sposób w książce p. t. „La main tendue. Le dialogue catholique — communiste est il possible?", napisanej przez jezuitę G. Fessard. Książka ta zasługuje na tym większe zainteresowanie, że wydana została za aprobatą władzy kościelnej.

Analiza zagadnienia przez ojca Fessarda jest bardzo interesująca. Przede wszystkim zaznaczyć należy, że nie posługuje się on w swych argumentach wybitnie nieprzyjaznymi, potępiającymi formułami przeciwko komunizmowi, lecz przeciwnie stara się z jak największym spokojem i lojalnością dyskutować ze światopoglądem komunistycznym, opierając się na głębokiej analizie teologicznej i socjologicznej.

Warunkiem zasadniczym nawiązania współpracy między komunistami i katolikami jest, według propozycji komunistycznej, aby współpraca odbywała się na płaszczyźnie kwestii wspólnych, t. j. na płaszczyźnie *walki o pokój, wolność i chleb*, bez rezygnowania z zasadniczych koncepcji filozoficznych i doktrynalnych. Niech kwestia religii czy też ateizmu — mówią komuniści — będzie sprawą prywatną każdego człowieka. Jeśli bowiem chodzi o wolność wyznania, o światopogląd filozoficzny, każda ze stron powinna zachować swój własny punkt widzenia, którego nie należy atakować. Innymi słowy komuniści godzą się dać katolikom prawo swobodnej wiary, z drugiej strony chcą zachować dla siebie prawo reprezentowania własnego światopoglądu, mianowicie ateizmu.

Ta propozycja stanowi też właśnie przedmiot najszczegółowszej analizy ze strony ojca Fessarda.

Nie odmawiając zasadniczo komunistom dobrej wiary przy takim formułowaniu warunków wzajemnej współpracy, ojciec Fessard wyjaśnia jednak, że jeżeli nawet ateiście taki punkt widzenia może odpowiadać — i to nawet bez żadnego zakłamania wewnętrznego, to jednak dla katolika musi on być absolutnie nie do przyjęcia. Taki punkt widzenia wyniknął — zdaniem ojca Fessard — z tego błędu, że komuniści uważali, iż sprawy religii, sprawy ducha, świętości, są to kwestie nie z tego świata, kwestie, które — przy założeniu, iż istnieje oczywiście wolność wyznania i religii na ziemi — znajdują swe naturalne rozwiązanie dopiero po śmierci, w Królestwie niebieskim.

Tymczasem — pisze o. Fessard — katolicyzm to nie jest tylko wiara w istnienie życia niewidzialnego i odległego (pozagrobowego), ani nauka o pewnej treści, ale to jest wiara w obecność Boga również na ziemi. Inaczej mówiąc, wiara w Boga nie ogranicza się tylko do wiary w pewne transcendentne istnienie, ale jest to respektowanie i uznawanie Boga i Jego praw w nas samych — już tu na ziemi.

Stwierdzając więc istnienie Boga w duszach ludzkich, ojciec Fessard nie może się zgodzić na to, aby komuniści głosili hasła ateizmu, to jest hasła zaprzeczające istnieniu Boga wogóle.

Jako warunek zasadniczy nie tylko współpracy, lecz wszelkiej dyskusji między katolikiem i komunistą, stawia więc Fessard żądanie, aby komuniści zaprzestali propagandy *ateistycznej*.

Stawiając ten warunek, ojciec Fessard zastanawia się jednak dalej nad tym, czy taki właśnie warunek nie stanowi zaprzeczenia całkowitego teorii komunistycznej. Otóż, zdaniem Fessarda, komuniści nie powinni się tego obawiać. Na potwierdzenie swych słów przeprowadza on niesłychanie interesującą analizę filozofii Marksa. Za pomocą tej analizy pragnie wykazać komunistom, że — wbrew dotychczasowym poglądom, wbrew hasłu że „religia to opium dla ludu" — Marks wcale nie stał na stanowisku ateistycznym.

Na potwierdzenie tej tezy ojciec Fessard przytacza wyjątki z dzieł Marksa z okresu jego młodości, w szczególności zdanie, że:

„Komunizm, dążąc do wyzwolenia człowieka przez zniesienie własności prywatnej, jest tym samym pełnowartościowym naturalizmem, równoznacznym z humanizmem. Zrealizowanie komunizmu stanowi prawdziwe zakończenie walki między ludźmi i między człowiekiem a naturą, prawdziwe zakończenie sporu między istnieniem a materią, między objektywizacją i samopotwierdzeniem

swej jaźni, między wolnością a obowiązkiem".

Ze słów tych Fessard wyprowadza wniosek, że Marks, aczkolwiek nie wspomina nic o Bogu, niemniej jednak — podświadomie może — dąży do zrealizowania Ducha w ludzkości nie przez wyłączenie całkowite Ducha, ale właśnie przez pełną penetrację Natury przez Ducha, t. j. przez oparcie stosunków społecznych na zasadach praw boskich. Taki bowiem obraz przyszłych idealnych stosunków ludzkich opisanych przez Marksa jest właśnie zdaniem Fessarda celem, do którego dąży również sam katolicyzm (oczywiście katolicyzm oświecony) w walce o realizację zasad boskich na ziemi.

Tradycyjne antyreligijne i ateistyczne natomiast nastawienie marksizmu ma swoje uzasadnienie w zupełnie innych, niż filozoficzne, przyczynach — twierdzi dalej o. Fessard — i jest wynikiem niewłaściwego zrozumienia Marksa przez marksistów. Marks, który zajmował się przede wszystkim zagadnieniem urządzenia stosunków między ludźmi i walką o wyzwolenie człowieka z systemu eksploatacji człowieka przez człowieka, nie zajmował specjalnie wyraźnego stanowiska wobec spraw religji, którą jeśli zwalczał to tylko za jej rolę, jaką grała właśnie przy utrwalaniu stanu eksploatacji kapitalistycznej człowieka przez człowieka, gdy mirażem życia pozagrobowego odsuwała od wykorzystywanego człowieka myśl o stworzeniu harmonijnego, sprawiedliwego, opartego na zasadach boskich, życia społecznego już tu na ziemi.

Stwierdzając te fakty, o. Fessard przyznaje nawet w pewnym stopniu komunistom prawo zwalczania objawionej religii, tym bardziej, że nawet wśród samych katolików — tych oczywiście, którzy wierzą w istnienie Boga i praw boskich na ziemi, — powstaje naturalna i nieublagana opozycja przeciwko rytualom religijnym, zawierającym w sobie wiele pierwiastków pogańskich i żydowskich, które przez to faktycznie wypaczają życie według wskazań Chrystusa i wielokrotnie prowadzą do tego, że (cytujemy słowa Fessarda) *„imaginacja i egoizm faryzeusza-mieszczanina, jak również i poganina-proletariusza, mają tendencję ao zatrzymywania się przy tych ceremoniach i do całkowitego zaspakajania niniejszych potrzeb religijnych*".

Między katolikiem w ścisłym, lepszym tego słowa znaczeniu, a komunistą, który wierzy w wyzwolenie ludzkości i w przeniknięcie ludzkości — jako ostateczny cel — przez Ducha, t. j. przez wielki absolut sprawiedliwości i wyzwolenia człowieka, możliwa jest — zdaniem o. Fessarda — współpraca i porozumienie, chociażby tak myślący i czujący komunista nazywał siebie nawet ateistą.

Niemożliwą natomiast jest współpraca między komunistami i katolikami, w warunkach gdyby komuniści — jak to zresztą obecnie zachodzi — dążyli do stworzenia takiego ustroju społecznego, gdzie jedynie władnym miałby być sam człowiek, nieuznający Absolutu, i wierzący jedynie w stały nieskończony, bez ostatecznego celu, rozwój ludzkości.

Gdyby też komuniści zeszli z dotychczasowej ateistycznej drogi myślenia, na którą ich skierował Lenin, na drogę wiary w przyszłą wyzwoloną ludzkość, połączoną z Duchem - Bogiem — porozumienie i wspólność celów byłaby widoczna. W tych warunkach współpraca między nimi powinna odbywać się na zasadach całkowitej tolerancji i wzajemnego szacunku.

Rozwijając dalej praktyczne warunki takiej ewentualnej współpracy, o. Fessard wysuwa żądanie, aby komunizm, w danej chwili przede wszystkiem Związek Sowiecki, dał faktyczną możność działania na swym terytorium Kościołowi, przy czym deklaruje, że Kościół ze swej strony aprobowałby istniejący obecnie w Z. S. S. R. ustrój gospodarczy i społeczny.

W tym uznaniu ustroju społeczno - gospodarczego Sowietów przez ojca Fessarda kryje się, jak—zdaje się—można wywnioskować z jego wywodów — nie tylko myśl — zresztą dawno już znana, — że Kościół katolicki potrafi dostosować swą działalność do wszystkich ustrojów społecznych i politycznych, — na dowód czego o. Fessard przytacza, że „Kościół potrafił dostosować się nawet do ustrojów faszystowskich". W takiej aprobacie tkwi również niewątpliwie zasadnicza aprobata samego ustroju gospodarczego, jako takiego, o ile, oczywiście, realizuje on rzucone przez Marksa hasło wyzwolenia człowieka z ucisku przez drugiego człowieka, które jest niewątpliwie sympatyczne dla ojca Fessarda.

Zgadzając się na to, co nazywa pozytywną stroną marksizmu, ma jednak o. Fessard wiele i to bardzo głębokich zastrzeżeń przeciwko komunizmowi. Zastrzeżenia te odnoszą się do negatywnej strony marksizmu, przede wszystkiem do niewiary, a jeśli chodzi o Z. S. S. R. — do ich praktyki, polegającej na stosowaniu mimo pewnych pozorów, jak najbardziej zdecydowanej polityki eksterminacyjnej wobec kościoła. Opierając się na wytycznych Lenina, Z. S. S. R. jest wogóle ateistycznie usposobiony, a więc reprezentuje ten odłam marksizmu, z którym ojciec Fessard nie widzi możliwości porozumienia się. Ponadto o. Fessard nie ma wiele zaufania do uczciwości i lojalności komunistów.

Mimo tych zastrzeżeń, niejednokrotnie sformułowanych bardzo kategorycznie, z całej książki przebija jednak myśl, że w gruncie rzeczy — jeżeli nawet nie wyraźne porozumienie — to w każdym bądź razie rozmowy między katolikami i komunistami nie są absolutnie niemożliwe.

Książka o. Fessarda zasługuje na żywe zainteresowanie, gdyż niewątpliwie stanowi ona poważny i symptomatyczny, aczkolwiek tylko próbny, krok w kierunku nowego ułożenia się sprawy wzajemnego stosunku między kościołem i prądami skrajnego radykalizmu społecznego.

Dla podkreślenia zaś, że sprawa ta posiada większe znaczenie, należy stwierdzić, że komunizujących katolików jest dzisiaj we Francji nie mało i że zwłaszcza wśród francuskiego ruchu inteligenckiego oraz robotniczego hasła współpracy komunistów z katolikami znajdują wdzięczne echo. Ten odłam katolików ma własne organizacje z własną prasą np. dziennik „l'Aube".

Nie chcemy w tym miejscu wyprowadzać dalej idących wniosków, zwłaszcza wniosków co do konsekwencji, jakie te nowe eksperymenty francuskie mogą pociągnąć za sobą w całym świecie. Jedno wydaje się pewne, że na tle przeżywanej obecnie przez ustrój kapitalistyczny dekompozycji powstaje jakaś fala pewnego mistycyzmu rewolucyjnego, który stara się pogodzić najradykalniejsze postulaty gospodarcze i polityczne z potrzebami religijnymi mas ludowych.

To zjawisko przejawia się poza Francją w bardzo silnym stopniu również i w Stanach Zjednoczonych, gdzie ruchy religijne, zwłaszcza zaś protestanckie — chociaż i nie brak licznych księży i organizacji katolickich — starają się zbliżyć do radykalizmu społecznego.

Te przedewszystkiem objawy spowodowały — jak przypuszczam — pewną zmianę w stanowisku samej stolicy Apostolskiej, Papieża Piusa XI, który o ile poprzednio zwalczał komunizm przede wszystkim jako prąd ateistyczny — ostatnio w swej encyklice antykomunistycznej porównał komunistów z sektą średniowieczną albigensów, która — jak wiadomo — była par excellence ruchem religijno - społecznym.

Na wzrastające znaczenie tych prądów śród katolików zwraca uwagę również sam Mussolini, gdy w niedawno ogłoszonym artykule w „Popolo d'Italia" umieścił zdanie „że krzyki babskie i kazania arcybiskupie doprowadzają mnie (Mussoliniego) do śmiechu i napełniają obrzydliwością" jak również i to że „są pewni katolicy, z którymi uregulujemy jeszcze rachunki po naszemu".

Fakty te winny tym bardziej zmusić nas do zwrócenia uwagi na zagadnienie stosunku religii do prądów skrajnych jako zagadnienie znajdujące się w stadium przemian i ewolucji.

ZAGADNIENIA SPOŁECZNE

O reformy w ustawodawstwie społecznym

Dnia 17 b. m. obradowała Rada Naczelna Unii Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych. Na posiedzeniu tym zostały, między innymi, przyjęte następujące postulaty, dotyczące zakresu ustawodawstwa społecznego:

Rada Naczelna Unii Z. Z. P. U. stwierdza, iż chwila obecna wymaga wprowadzenia reform, któreby ukróciły wyzysk, uprawiany w naszym kraju przede wszystkim przez zagranicznych kapitalistów z najwyższą szkodą dla Polski.

To też Rada Naczelna domaga się, aby w obecnym sezonie prac parlamentarnych zostały przeprowadzone ustawy, które by załatwiały następujące potrzeby społeczne:

1) upowszechnienie zbiorowych umów pracy przez wprowadzenie przymusowego rozjemstwa w zbiorowych zatargach pracy tudzież postępowania pojednawczego.

2) zapewnienie ochrony działaczów związkowych i przedstawicielstwa pracowniczego przez rozciągnięcie na teren całej Rzeczypospolitej ustawodawstwa o radach zakładowych, obowiązujących dziś na Górnym Śląsku.

3) zapewnienia trwałości stosunku umowy o pracę przez wprowadzenie przepisu aby trzymiesięczne wypowiadanie następowało tylko na koniec kwartału w zależności od trwania wysługi lat przez wprowadzenie odpraw niezależnych od okresu wypowiedzenia w stosunku jednomiesięcznego uposażenia za każdy rok pracy.

Unia Z. Z. P. U. będąc w zasadzie zwolenniczką powołania organu publiczno - prawnej reprezentacji warstw pracujących w postaci Izb Pracy, zastrzega jednak, iż stosunek warstw pracowniczych do tego zagadnienia uwarunkowany jest niewzruszenie spełnieniem następujących postulatów:

1) zapewnienie istotnej wolności i niezależności ruchu zawodowego z wykluczeniem wszelkiej supremacji czynników administracji nad organizacjami społecznymi;

2) wyraźne rozgraniczenie kompetencji celem uniknięcia konkurencji organów samorządu pracowniczego z ruchem zawodowym.

Józef Pabis

Ustrój pracy we Włoszech

Karta Pracy Królestwa Italskiego zatwierdzona przez Wielką Radę faszystowską, a zawierająca 30 paragrafów, przedstawia podstawowe zasady włoskiego ustroju robotniczego. Faszystowska konstytucja głosi hasło obowiązku pracy i proklamuje zasadę, że praca jest obowiązkiem społecznym, i że organizacje uznawane przez Państwo są wolne. „La carta del Lavoro", ogłoszona 21.IV-27, reguluje nadto sposób ustalenia wysokości płac odpoczynków i ubezpieczeń.

Sam ustrój robotniczy poddany jest pod bezwzględną jurysdykcję Sądów Pracy zwłaszcza, jeżeli chodzi o zatargi zbiorowe i samoobronę.

Robotnicze Sądy Pracy we Włoszech mają na celu nie tylko stosowanie istniejącego prawa, ale tworzenie nowego. Sądownictwo pracy na terenie robotniczym we Włoszech pojmowane jest jako sądownictwo słuszności i godziwości, co żywo przypomina jurysdykcję dawnego Rzymu.

Państwo faszystowskie, korporatywne, uznaje prywatną inicjatywę na polu wytwórczości. Ingerencja Państwa w życiu gospodarczym jest wtedy uzasadniona, gdy inicjatywa prywatna nie wystarcza, albo, gdy wchodzą w grę interesy polityczne Państwa. Immiscencja władzy państwowej przybiera często formę tak daleko posuniętej kontroli, że wreszcie prowadzi do przejęcia danego przedsiębiorstwa przez Państwo.

Umowy zbiorowe, obowiązujące we Włoszech, pojmowane są jako wyraz solidarności między rozmaitymi czynnikami produkcji i są zawierane między stowarzyszeniami zawodowymi pracodawców i pracowników. Każda umowa zbiorowa we Włoszech zawiera postanowienia, co do stosunków dyscyplinarnych, okresów próby, wypłaty wynagrodzenia i czasu pracy. Jeżeli wynagrodzenie ustala się akordowo, a wypłata następuje w okresach dłuższych niż dwutygodniowych, należą się pracownikowi stosowne zaliczki. Za pracę nocną robotnicy otrzymują pewną nadwyżkę procentową nad płacę dzienną. Robotnik ma prawo raz na tydzień do odpoczynku przypadającego na niedzielę. Po roku nieprzerwanej służby w przedsiębiorstwie nabiera prawa do płatnego urlopu wypoczynkowego. W przedsiębiorstwach o pracy ciągłej włoski robotnik jest uprawniony, w wypadkach ustania stosunku pracy (zwolnienie nie z jego winy), do odszkodowania proporcjonalnego do lat służby. Takie odszkodowanie wypłacają Włosi także w wypadkach śmierci. W przedsiębiorstwach o pracy ciągłej przejście zakładu w inne ręce nie rozwiązuje umowy zbiorowej, a personel w nim zatrudniony achowuje swe prawa.

Urzędy pośrednictwa zorganizowane są we Włoszech na zasadach korporatywnych pod kontrolą Państwa. Pracodawcy zobowiązani są do przyjmowania pracowników wpisanych w tych urzędach, ale mają możność wybierania między zaciągniętymi do wpisów, przy zachowaniu pierwszeństwa dla należących do stronnictwa i do syndykatów faszystowskich.

Dyscyplina jest zasadą ustroju społecznego we Włoszech. Stąd wszelkie wykroczenia robotnika przeciw dyscyplinie są karane grzywną pieniężną, zawieszeniem w pracy, a w wypadkach cięższych natychmiastowym wydaleniem z pracy bez odszkodowania.

Włoskie ustawy robotnicze sięgają bardzo głęboko w dziedzinę prawa umownego. Faszyzm włoski cechuje szczególnie to, że związki zawodowe stanowiąc w dużym stopniu związki korporacyjne uznawane przez Państwo, mają silny wpływ na administrację Państwa. Za prawne stowarzyszenia syndykackie pracowników i robotników uznane są tylko te stowarzyszenia, które reprezentują dziesiątą część pracowników. Podobnie w odniesieniu do pracodowców oficjalne czynnniki faszystowskie uznają tylko te związki pracodawców, które zatrudniają dziesiątą część pracowników ogólnie zajętych w danej branży.

Kierownicy wszelkich stowarzyszeń robotniczych muszą dawać rękojmię uzdolnienia, moralności i niezachwianych przekonań narodowych. Z tego wynika, że kierownikami organizacji robotniczych we Włoszech mogą być tylko faszyści. Stowarzyszenia robotnicze włoskie posiadają osobowość prawną i reprezentują legalnie wszystkich pracodawców i robotników tej kategorii, dla której zostały założone, bez względu na to, czy ci są do nich zgłoszeni. Włoskie prawo robotnicze przewiduje także nakładanie w organizacjach na ich członków opłat stowarzyszeniowych.

Stowarzyszenia syndykackie mogą być organizowane na terenie robotniczym jako stowarzyszenia okręgowe, prowincjonalne i ogólno państwowe.

Nie uznają Włosi wszelkich organizacji robotniczych, które pozostają w jakiejkolwiek zależności od stowarzyszeń o charakterze międzynarodowym.

Wszelkie umowy zbiorowe zawierają włoscy robotnicy na piśmie. Wszelkie zatargi wynikające ze stosunków zbiorowych, dotyczące umów, ich wykonania, lub też żądania nowych warunków płacy, należą do kompetencyj Trybunałów Apelacyjnych, funkcjonujących jako Sądy Pracy. Specjalni prezydenci trybunałów przeprowadzają próby pojednania. Przy każdym z trybunałów (16) istnieją Sądy Pracy, jako osobne sekcje tego sądu z trzema sędziami oraz dwoma obywatelami jako biegłymi w sprawach związanych z produkcją i pracą. Trybunały Pracy orzekają w sprawach stosowania umów, istniejących przepisów ustaw, jej interpretacji, wykonania kontraktów, zaś w sprawach formułowania nowych warunków pracy wedle słuszności uzgadniają interesy pracodawcy z interesami robotników oraz bronią w każdym wypadku wyższych interesów produkcji w faszystowskim Państwie włoskim.

Włoskie prawa robotnicze zakazują w sposób ustawowy strejków i lokautów. Podobnie pracodawcy, zawieszający pracę w swych zakładach pracy bez uzasadnionych motywów, albo dla uzyskania korzystniejszych warunków w umowach z robotnikami, bywają surowo karani.

Do związków syndykackich, według wspomnianej ustawy z roku 1927, mogą należeć obywatele obojga płci po 18 roku życia, prowadzący się dobrze pod względem moralnym, politycznym i narodowym. Dekrety pozwalają na bardzo szeroki wgląd w wewnętrzne stosunki tych stowarzyszeń robotniczych. Ponadto powyższy dekret ustanawia supremację umowy zbiorowej zawartej na piśmie nad umową indywidualną, która musi się stosować do warunków wszelkich umów zbiorowych.

NOTATNIK POLEMICZNY

Niejasności i wyjaśnienia

Ostatni artykuł wstępny w „Narodzie i Państwie" („Cena zwycięstwa") podobał się na ogół p. K. Cz. w „Robotniku". Łaskawy recenzent nazywa nawet artykuł dobrym. Żali się jednak, że „wnioski są mgliste" i „dobry artykuł gaśnie wśród niejasności". W zakończeniu wreszcie stawia kilka pytań o charakterze pół retorycznym, zwróconych do autora.

Na pytania nie mamy prawa bez powodu nie dawać odpowiedzi. Odpowiedź tę poprzedzimy jednak pewną uwagą, dotyczącą ogólnie sformułowanego zarzutu „niejasności".

Ile razy ktoś występuje z zarzutem niejasności, przychodzi nam na myśl początek jednego z wierszy najwybitniejszego niewątpliwie w Polsce fachowca w zakresie „niejasności" — Norwida:

„On skarży się na ciemność mej mowy,
Czy choć świecę raz zapalił sam,
Sługa mu ją wnosił pokojowy,
Wiele przyczyn tak zakryto nam!"

W stosunku do p. K. Cz. dosłowne brzmienie tego wyjaśnienia Norwida na pewno nie jest słuszne. Jednakże przenośne nie jest bez racji. Czy p. K. Cz. dobrze bowiem przeczytał artykuł, na którego niejasności się skarży?

Chyba nie! — Jakże bowiem inaczej moglibyśmy wytłumaczyć zwrócone w zakończeniu pod adresem autora zarzuty-zapytania?

„Dlaczego autor odmawia ludowi, walczącemu o wpływ na państwo, wartości państwowych? — Dlaczego nie powie wyraźnie, że w formie demokracji odbywa się synteza ludu i państwa? — Dlaczego czyni niesłuszne przeciwstawienie „państwowego" obozu z jednej a ludowego z drugiej?"

Dlaczego? — Doprawdy — przez dłuższą chwilę autor nie miał żadnego wytłumaczenia czemu popełnił te grzechy przeciwko demokracji i przeciwko własnemu sposobowi myślenia o tych sprawach. Wreszcie jednak sięgnął po omawiany artykuł. Tam odnalazł następujące zdanie, jako stanowiące punkt wyjścia zarzutów p. K. Cz.:

„Przyjmujemy, że walka ta będzie zakończona jak najpełniejszym nawet zwycięstwem strony, która na swym sztandarze wypisze hasło narodowego i państwowego interesu Polski, odmawiając — w sposób jak najbardziej bezwzględny i nie licząc się z rzeczywistością — stronie drugiej prawa do reprezentacji tych samych haseł."

Acha! Więc to nie autor tylko „strona" ponosi za tę „odmowę" odpowiedzialność. Autor zaś zastrzega ze swej strony, że byłoby to sprzeczne z rzeczywistością. Pan K. Cz. tego szczegółu nie zauważył. Nie miejmy o to pretensji, bo cóżbyśmy powiedzieli na następny fragment:

...„przybiera ona („linia frontów wewnętrznych" — przyp. Red.) coraz jaskrawszy charakter niczym w naszych warunkach nieumotywowanego przeciwstawienia zespołu interesów państwowych i narodowych zespołowi interesów społecznych i politycznych najszerszych mas naszego Narodu. Przeciwstawienie to — jak powiedzieliśmy — jest niczym nie umotywowane."

Oto jak wygląda obciążające autora przeciwstawianie obozu „państwowego" i „ludowego". Lecz jeśli tak wygląda zreferowanie poglądów w krytyce naogół życzliwej, to jakież ono może przybrać formy w krytyce nieżyczliwej.

Piszemy bez złośliwości. Piszemy jednak w lęku, byśmy w przyszłości, w razie stwierdzenia kiedykolwiek, że deszcz pada, nie byli pociągani do odpowiedzialności cywilnej za wszystkie szkody przez deszcz ten wyrządzone.

Na marginesie

GDAŃSK

Senat gdański znów dał dowód wrogiego stosunku do Polaków gdańskich i znów naruszył prawa, jakie w Wolnym Mieście posiada Rzeczpospolita. Przejawiło się to w formie skłonienia J. E. Ks. Biskupa gdańskiego do tymczasowego zawieszenia wykonania dekretu o utworzeniu personalnych parafii polskich w Gdańsku, przy równoczesnym zwróceniu się z protestem przeciwko zarządzeniu Stolicy Apostolskiej bezpośrednio do niej, z pominięciem rządu polskiego, który powołany jest do prowadzenia polityki zagranicznej Gdańska.

Pierwszy fakt zyskuje na plastyce, kiedy go rozpatrujemy w perspektywie faktów minionych. Potrzeba odprawiania nabożeństw polskich i przysługujące Polakom gdańskim do tego prawa uznawał całkowicie rząd Niemiec przedwojennych. Już przed wojną odbywały się w Gdańsku nabożeństwa w języku polskim. Po utworzeniu Wolnego Miasta i związanej z tym prawno-politycznej zmianie położenia Polaków gdańskich, ten proces indywidualizacji usług duszpasterskich dla polskiej ludności Gdańska znajdował się w ciągłej ewolucji. Ewolucja ta była następstwem faktu, że Polacy w Gdańsku — niezależnie od swej liczebności — stanowią grupę narodową o całkowitej równorzędności prawnej.

Decyzja Stolicy Apostolskiej utworzenia polskich parafii w Gdańsku była naturalnym następstwem tej ewolucji. Nie można natomiast za fakt równie naturalny uważać tego, że system dyktatury czynników narodowo-socjalistycznych stara się na drogach rozwoju ludności polskiej w Gdańsku budować zasadnicze przeszkody w postaci spychania tej ludności do rzędu zależnej od dobrej woli władz gdańskich grupy mniejszościowej.

Drugi fakt wyżej wspomniany: bezpośrednie zwrócenie się Senatu do Stolicy Apostolskiej, jest oczywistym zamachem na nadrzędność praw Polski w Gdańsku. Już w pierwszych latach po utworzeniu Wolnego Miasta niemieccy teoretycy prawa narodów starali się uzasadnić pogląd, że Gdańsk jest państwem suwerennym, a więc podmiotem prawa międzynarodowego. Podnoszono np. w Niemczech, że tenor konstytucji Wolnego Miasta proklamuje je jako wolne państwo o władzy płynącej „z woli ludu". Wszystkie te konstrukcje nie opierają się jednak na żadnych poważnych przesłankach międzynarodowo-prawnych. Nawiązywanie przez Senat gdański do tych tradycji wymaga ze strony Polski stanowczej odprawy.

Z punktu widzenia prawnego nikt nie może kwestionować faktu, że Gdańsk nie ma osobowości międzynarodowej i że jego sprawy zagraniczne prowadzi Polska. Bezpośrednie zwrócenie się Senatu do Stolicy Apostolskiej nie wynika więc z żadnej interpretacji prawa, ale z tendencji, aby w Gdańsku nad prawem zapanowała siła: siła policyjna na wewnątrz i siła politycznych „faktów dokonanych" w stosunkach zewnętrznych.

Nie jest nam wiadome, jaki jest rezultat rozmów, jakie rząd polski podjął ze Stolicą Apostolską, czy z Gdańskiem, w sprawie bezpośredniości zwrócenia się Senatu gdańskiego. Myślimy, że głównym celem ich musi być dostatecznie kategoryczne uświadomienie władz gdańskich, że wszelka polityka „faktów dokonanych" będzie miała dla Senatu Wolnego Miasta smutne konsekwencje. Lecz jeśli takie upomnienie ze strony Rządu Polskiego już nastąpiło, to konieczne jest jak najszybsze podanie go do wiadomości opinii polskiej, która rozwojem sytuacji w Gdańsku jest coraz to silniej zaniepokojona.

P. S. Już po napisaniu niniejszego fragmentu zaszły nowe wypadki antypolskich „faktów dokonanych" na terenie Wolnego Miasta. Biegowi tych wypadków nie nadąży pióro publicysty. Trzeba jednak by nadążyła za nimi czujność czynników odpowiedzialnych za stan naszych interesów narodowych i państwowych nad Bałtykiem.

MORŻOWSKIE »STRONNICTWO PRACY«

Sytuacja polityczna w Polsce odznacza się postępującą koncentracją sił na biegunach życia politycznego. Koncentracja ta realizuje się w dwóch obozach radykalizmu społecznego i politycznego, które, w braku innej, bardziej do nowoczesnych pojęć dostosowanej nomenklatury, nazywamy potocznie prawicowym i lewicowym.

Do niedawna mogło się wydawać, że wolne miejsce pośrednie zostanie w sposób planowy zajęte przez czynnik polityczny, oparty o hasła konsolidacji sił Narodu. To się dotychczas nie ziściło. Można by sądzić, że bieguny polityczne, jak bieguny magnesu, przyciągają do siebie, natomiast część linii politycznej, tak samo, jak i sztaby magnetycznej, położona między biegunami, odznacza się brakiem atrakcyjności. W rezultacie miejsce zostało chwilowo wolne.

Jednakże „natura horret vacuum". Nie małe więc zaciekawienie musiał obudzić występ na centrum nowej siły politycznej, zrodzonej przez zjednoczenie Chrześcijańskiej Demokracji i Narodowej Partii Robotniczej. Leaderzy frontu Morges chcą przez zjednoczenie tych stronnictw stworzyć polskie „centrum".

Nawiasem trzeba zaznaczyć, że na marginesie aktu fuzji Ch. D. i N. P. R. można było zaobserwować fakty, świadczące o odbywaniu się równocześnie i na tym samym terenie pewnej dekompozycji. Na kongresie połączeniowym Chrześcijańskiej Demokracji i Narodowej Partji Robotniczej brak było naprzykład wielu wybitnych działaczy tego środowiska, jak pp. Ponikowski, Thylle, Tyszka, ks. Szydelski, Janczewski, Bitner, Chądzyński, Peplowski, Jankowski i inni. Z widoczną rezerwą do połączenia ustosunkowały się również Chrześcijańskie Zjednoczenie Zawodowe i Zjednoczenie Zawodowe Polskie, które dotychczas były silnie związane z Ch. D. i N. P. R. Wreszcie — wrogo i agresywnie ustosunkowały się do faktu połączenia tych dwóch stronnictw młode elementy z N. P. R., przyciągane przez „prawicowy" biegun polskiego życia politycznego. Elementy te, jak słychać, domagały się rozwinięcia programu Stronnictwa Pracy w kierunku radykalizmu nacjonalistycznego i gospodarczego, a osłabienia tendencji liberalnych.

Na czele nowego Stronnictwa stanęli politycy i działacze, którzy przeważnie mają jedną cechę wspólną: wszyscy mają za sobą przeszłość i są z tą przeszłością związani myślą, sentymentem, marzeniem. Nic więc dziwnego, że główne hasło, które realnie wypłynęło jako hasło nowego Stronnictwa, było hasłem nawrotu do przeszłości, hasłem wrócenia do przedmajowej struktury politycznej.

Nie będziemy na temat tego hasła na tym miejscu przeprowadzali zasadniczej dyskusji. Nie na odcinku obecnie powstałego „Centrum" widzimy siły, które mogłyby ewentualnie rozgrywać walkę o przyszłe formy ustrojowe Polski. Morżowskie „Stronnictwo Pracy" przeżyje chwile błąkania się pomiędzy istotnymi aktorami polskiej sceny politycznej, zajmując przejściowo miejsce, które zostało zaniedbane przez innych, więcej znacznie mających do powiedzenia aktorów i... będzie oczekiwało na powrót dnia wczorajszego z większą tęsknotą, niżeli istotną zdolnością działania.

Tymczasem zapewne przeżyje nie jeden dzień złudzeń, nie zdając sobie sprawy, że nawet te złudzenia zawdzięczać będzie nie tyle własnej dzielności, ile wytworzonej w tym miejscu próżni, powstałej stąd, że ci, którzy powinni być w tym miejscu czynni, poddali się przyciągającemu działaniu jednego z biegunów, marząc — kto wie o czym, może o totalizmie, a w konsekwencji ułatwiając powstanie warunków po temu, aby dziś właśnie w hasłach powrotu do przedmajowych stosunków poszukiwano drogi przyszłości dla Polski.

Poszukiwania, jak powiedzieliśmy, będą napewno beznadziejne, przynajmniej na tej linii frontu. Niemniej samo zjawisko powstania „Stronnictwa Pracy" zasługuje na uwagę i wyciągnięcie wniosków.

KONFISKATY

Balzac był zdania, że gdyby prasa nie istniała, nie należało by jej stwarzać.

Niektóre czynniki naszej administracji państwowej zdają się hołdować zasadzie, że ponieważ prasa już istnieje, zło stąd powstałe trzeba możliwie ograniczyć przez politykę konfiskat.

Prasa nie zupełnie chce się z tym punktem widzenia pogodzić. Opierając się na konstytucyjnej gwarancji wolności wyrażania myśli, przekonana skądinąd w myśl znanego aforyzmu Clemenceau, że „wolność jest to swoboda spełniania swych obowiązków", stara się informować swych czytelników i komentować fakty polityczne. Za pełnienie tych obowiązków uzyskuje pochwały najwyższych czynników administracyjnych, aprobaty odpowiednich instancji prawnych — nie może natomiast swą układnością wprowadzić w błąd tych, którzy ją znają z racji swego zawodu najbliżej, to jest cenzorów. Ci ostatni, przepojeni balzakowską niechęcią, wybielają (w przenośni i dosłownie) szpalty czasopism z dokładnością najlepszej pralni.

Lecz i tutaj natura boi się próżni. W życiu politycznym reakcja na próżnię, powstałą skutkiem indywidualizmu p. Cenzorów, jest szczególnie niebezpieczna. Wyraża się w emanacji plotek, zdolnych do wywołania stokroć gorszego niepokoju, niżeli najostrzejsze z konfiskowanych artykułów.

Dochodzimy do granic absurdu. Gdyby bezstronny i obiektywny zagraniczny badacz stosunków polskich chciał sąd swój o tych stosunkach oprzeć na podstawie obserwacji stopnia „wybielenia" naszej prasy, najrozmaitszych zresztą kierunków politycznych, musiałby dojść do wniosku, że stoimy w przededniu rewolucji. Gdyby był przedstawicielem państwa totalnego, gdzie przestępstwem jest każda krytyka rządu, musiałby mniemać, że w społeczeństwie polskim jest niesłychane napięcie nastrojów antyrządowych. Gdyby rozumował kategoriami społeczeństw demokratycznych, poszedłby we wnioskowaniu jeszcze dalej: mniemałby że w Polsce są niesłychanie silne nastroje wręcz antypaństwowe. Czyżby bowiem mógł przypuścić, że aby być systematycznie konfiskowanym nie trzeba być ani antypaństwowcem, ani nawet opozycjonistą: wystarczy chcieć informować czytelnika, lub wyrażać poglądy o sprawach żywo interesujących opinię publiczną i bynajmniej nie stanowiących państwowej tajemnicy.

Wniosek ostateczny: nadmierna polityka konfiskat jest niecelowa w założeniu, szkodliwa w skutkach. Niecelowa dla tego, że wzbudza w społeczeństwie przesadne wieści i wyobrażenia, szkodliwa — bo ułatwia drogę plotce i przyczynia się do powstawania zgoła fałszywych wyobrażeń o sytuacji wewnętrznej w Polsce.

Balzac był zdania, że prasy nie należało by stwarzać, jednakże godził się z jej istnieniem. Niechaj szanowne grono naszych P. T. Cenzorów przejmie się, choć w pewnym stopniu, tym rezygnacyjnym stosunkiem do faktu, któremu tak zupełnie radykalnie zapobiec nie można.

Surowość w stosunku do występków jest nieraz bardzo wskazana. Nie można jednak iść tak daleko, by za występek ze strony prasy uważać chęć rozsiewania prawdziwych wiadomości, lub tendencję obrony istniejącego ustroju.

O kolonizacji i germanizacji Śląska

Omówiona poniżej broszura Tymienieckiego *) o kolonizacji i germanizacji Śląska w wiekach średnich ma dla Polski wymowę w okresie, którego jednym z najważniejszych haseł jest kolonizacja wewnętrzna, na kresach mająca być również polonizacją. Zagadnienia, jakie porusza i tłumaczy Tymieniecki, łączą się również z chwilą obecną, będąc elementami procesu dziejowego, który obserwujemy w jego postaci dzisiejszej jako hitlerowską politykę mniejszościową.

Niema odpowiedniejszego momentu jak obecny dla podkreślenia, że Śląsk jest ziemią, która nietylko politycznie, ale i narodowo związana była organicznie z całością Polski od pierwszych wieków jej państwowości. Najdawniejsza wieś śląska, o jakiej mówią np. dokumenty fundacyjne klasztorów, była z mowy, ustroju i budowy, wyłącznie wsią polską. A trzeba o tym przypomnieć i uzasadniać to naukowo nie tylko ze względu na aktualne polityczne posunięcia w części Śląska należącej do Rzeszy, ale i ze względu na to, że choć teoria t. zw. „pragermańska", wedle której na Śląsku miały pozostać resztki Pragermanów, odrzucona była przez naukę niemiecką w XIX wieku jako zupełnie pozbawiona podstaw naukowych, dziś sztucznie zaczyna być powoływana do życia przez naukę hitlerowską. Rewizjonistyczna ofenzywa nauki w Rzeszy musi więc być odparta kotrofensywą nauki polskiej.

Do naukowych rekwizytów współczesnego rewizjonizmu niemieckiego należy również wypaczanie istotnego znaczenia historycznego t. zw. prawa niemieckiego. Nauka hitlerowska skłania się ku utożsamianiu osady, założonej na tym prawie, z pojęciem osady niemieckiej. Jest to tendencja, która w szeregu wydawnictw o charakterze naukowo - politycznym staje się metodą fałszowania historii. Zagadnieniu osadniczego prawa niemieckiego Tymieniecki poświęca dużo miejsca i wyjaśnia je szczegółowo. Dowiadujemy się więc, że „w wielu wypadkach, tak na Śląsku jak i w innych ziemiach polskich, prawo niemieckie zostaje wprowadzone do wsi dawnych, czyli że mamy do czynienia z t. zw. przeniesieniem na prawo niemieckie. Wypadki takie na Śląsku dadzą się ponad wszelką wątpliwość stwierdzić i to już we wczesnych latach epoki kolonizacyjnej, z czego wynika, że wyłączność stosowania prawa niemieckiego do samych tylko Niemców trwała bardzo krótko". Wieś o prawie niemieckim, jakich było na Śląsku wiele, nie była to a priori wieś osadników niemieckich, jak tego chcą niektórzy z autorów, a raczej propagandzistów naukowo-politycznych niemieckich.

Charakteryzując rolę prawa niemieckiego jako czynnika przebudowy społecznej i gospodarczej w Polsce, Tymieniecki zamyka je w ramach ogólnoeuropejskiego procesu ewolucji urządzeń społecznych, procesu, który nie był nigdy ściśle równoznaczny z procesem całkowitej germanizacji. Stwierdzenie to ma oczywiście z punktu widzenia naukowo - politycznego znaczenie zasadnicze.

Podobnie jak z wsią na prawie niemieckim było z miastami. Niezależnie od mieszczaństwa napływowego, w przeważającej większości niemieckiego, osiedlała się w miastach ludność z okolicy, naogół element polski, spolszczający miasta. Mieszczanin poznański lub krakowski, pochodzenia niemieckiego, z chwilą opuszczenia miasta i znalezienia się wśród rdzennie polskiej szlachty okolicznej sam rychło się spolszczył. Z drugiej zaś strony w takim Poznaniu, podobnie zresztą jak i w wielu innych mniejszych miastach wielkopolskich, spotykamy się w XV w. z żywiołowym wprost napływem drobniejszej i mniej zamożnej szlachty do miast, która się tam osiedla.

W przeciwieństwie do Poznańskiego, które pozostało politycznie polskie, na Dolnym Śląsku — pisze Tymieniecki — żywioł niemiecki raz uzyskaną przewagę utrzymał aż do końca. Do miast tych zresztą i w czasach późniejszych nie ustawał napływ z Niemiec rodzin mieszczańskich, a zwłaszcza kupieckich. Ludność przybywająca ze wsi i z pobliskich miast mniejszych nie była natomiast w stanie, w istniejących warunkach politycznych, wpłynąć w sposób istotny na skład narodowościowy miast. Miasta dolnośląskie, w szczególności potężny i posiadający znaczne wpływy polityczne Wrocław, oddziaływały w kierunku germanizacyjnym wewnątrz ich murów i poza nimi. Mieszczanin wrocławski, stykający się z atmosferą kosmopolityczną dworów książęcych śląskich, nie tylko zachowywał swą niemiecką narodowość, ale współdziałał czynnie w germanizowaniu najbliższej okolicy miasta. Bujny rozwój samorządu miejskiego, będącego w rękach niemieckich, stawał się zwłaszcza potężnym narzędziem germanizacyjnym.

Na Śląsku Górnym procesy ludnościowe miały przebieg odrębny, dla polskości bardziej szczęśliwy. Górny Śląsk nie stał się też w erze nasilenia immigracji niemieckiej do ziem polskich, w XIII i XIV wieku, niemieckim. Twierdzenie niektórych uczonych niemieckich (powtarzone taksamo i w Polsce), że Górny Śląsk w XV stuleciu „powrócił narodowo do Polski" pod wpływem reakcji słowiańskiej w Polsce i Czechach, Tymieniecki stanowczo odrzuca.

Zdaniem Tymienieckiego „głównym powodem zarówno immigracji wiejskiej jak i szerzenia się prawa niemieckiego była przebudowa struktury społeczno - gospodarczej wsi polskiej". Rozwój wielkiej własności, odbywający się w okresie kryzysu własności drobnej, był mimowolnym, ale decydującym czynnikiem germanizacji Śląska. W chwilach, gdy proces wypierania własności drobnej przez własność wielką dopiero się zaczynał, „rozwijając się jednakże z dużą gwałtownością, — uciekano się najczęściej do osadnika obcego". Był nim osadnik niemiecki.

Syntetyzując wywody Tymienieckiego dochodzimy do wniosków następujących: 1). Pogląd na stopień germanizacji Śląska uzależniony jest od tego, jak ocenimy (na podstawie niepewnych danych) stopień udziału elementu niemieckiego ludzkiego w procesie ewolucji form ustrojowych wsi i miasta („prawo niemieckie"), procesie wspólnym dla wielu dziedzin Europy, a który w Polsce przybrał nazwę od zachodniego sąsiada i teraz może wydawać się już w swym założeniu procesem germanizacyjnym, 2) Kolonizacja Śląska elementem niemieckim była na wsi następstwem zbyt szybkiego rozwoju wielkiej własności. Ludność miejscowa, wyparta z pozycji dziedzica nie miała czasu asymilować się do nowych warunków pracy, a równocześnie przyzwyczajona do tych warunków ludność Niemiec miała tendencję emigracyjną. W takich warunkach, spotęgowanych równoległym do rozwoju „prawa niemieckiego" rozwojem immunitetu, czyli zwolnień skarbowych i sądowych uzyskiwanych od władzy państwowej przez wielką własność, mógł się rozwinąć okres niemieckiej kolonizacji, już nie indywidualnej, ale, groźniejszej dla polskości, bo wioskowej. 3) Rola miast i mieszczaństwa niemieckiego w procesie germanizacyjnym była niejednolita, a w ostatecznym wyniku zależna była od zmian politycznych, które natomiast miały mniejszy wpływ na losy polskości poza obrębem murów miejskich.

*) **KAZIMIERZ TYMIENIECKI: „Kolonizacja a germanizacja Śląska w wiekach średnich". Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice 1937.** Str. 41.

JW. Żuławski

Ze wspomnień alpejskich

Jeżeli z perspektywy kilku miesięcy zajmujemy się rozgrzebywaniem wspomnień z jakiegoś okresu czasu spędzonego w górach, wtedy najsilniej wyodrębniają się nam w myśli dwa typy przeżyć. Pierwsze to wspomnienia z dni walki — walki z niepogodą, zimnem, skałą, lodem, własnym wyczerpaniem wreszcie. Dni takich przeżyliśmy wszyscy sporo — mają one w sobie siłę ogromną, nieomal dramatyczną. Mają w sobie moc piękna, są wspaniałe. W bezsenne noce stają czasem przed oczyma w całej bezlitosnej grozie śmierci.

Są także i inne dni. Dni pełne słońca, powietrza, spokoju i królewskiego majestatu dzikości. Doliny żyją szumem potoków i wodospadów, głosami kozic i świstaków; stawy mają powierzchnię gładką jak lustro, i wyglądają z góry jak turkusy oprawione w granit. Wyżej jest martwa cisza i przestrzeń. Czasem przelatuje orzeł.

Gdy myślę o dniach spędzonych w Alpach, staje mi przed oczyma „Biało Piekło" na północnej ścianie Glockerinu: burza śnieżna, lawiny sunące na nasze głowy niby potwornych rozmiarów wodospady. Odwrót, kiedy schwytani w pułapkę chcemy za wszelką cenę uciec ze ściany. Biwak. Burza gradowa i elektryczna na Wiesbachhornie. Z czekanów i haków walą snopy iskier, twarze smaga wściekły wicher i odłamki lodu. Na Riffltor godzina za godziną brniemy po pas w śnieżnym puchu. Mgła pokrywa wszystko. Wiatr wznosi tumany śniegu i jest tak niesamowicie biało, że nie wiemy już, czy jesteśmy wysoko w górach, czy w podbiegunowej pustce, czy wreszcie oderwani od wszelkiej konkretności i rzuceni w jakąś kosmiczną nicość.

Ale mam w zanadrzu jedno wspomnienie, całkiem różne od poprzednich. Nie było tam burzy w ścianie, przeciwnie pogoda była nieskazitelna od początku do końca, a wśród oślepiającej białości lodowców czuliśmy się jak w ognistym piecu.

Nie było też lawin, ani rozpaczliwego odwrotu, ani mrożącego krew w żyłach biwaku, ani też wrzynającej się w ciało olodzonej liny. Była sobie po prostu śliczna wspinaczka przy pięknej pogodzie, w miarę trudna, w miarę długa, w miarę eksponowana. Zaryzykuję nawet — co zapewne wywoła zgorszenie naszych tygrysów alpinistycznych — że na wyprawie tej było tak przyjemnie— jak w Tatrach.

Działo się to właśnie wtedy, kiedy zostawiwszy trójkę kolegów szturmujących rynnę Pallaviciniego [1]), dotarliśmy nareszcie z całą „izbą chorych" do grupy Venediger. Tak się złożyło, że w naszej szóstce każdy na coś niedomagał: ten na żołądek, ów miał obtartą nogę i tak dalej. Rozejrzawszy się w sytuacji, doszliśmy do wniosku, że na dobrą sprawę tylko inż. Karpiński i ja możemy bez zastrzeżeń tworzyć t. zw. „grupę szturmową". Wobec tego postanowiliśmy obaj uroczyście wstać następnego dnia o godzinie drugiej po północy, a jako cel obraliśmy sobie niewielką (300 — 350 m), lecz efektowną Schwarze Wand [2]).

Około drugiej zbudziło mnie brutalne terkotanie budzika. Chciało mi się straszliwie spać, to też z tajoną radością patrzyłem na towarzysza, śpiącego bez drgnienia. Gdy niebezpieczeństwo minęło, obróciłem się na drugi bok i z nieuczciwą satysfakcją w sercu zasnąłem natychmiast. Inż. Karpiński zbudził się w nastroju bojowym, zdaje się blisko dziewiątej rano. Oczywiście — Alpy nie Tatry, o tej godzinie nigdzie się już nie wychodzi. Czekał nas zatem dzień pełen radosnego lenistwa i obżarstwa. Niektórzy postanowili się nawet umyć.

Tymczasem pomimo wszystko około dziesiątej opuściliśmy z inżynierem Karpińskim nasze namioty. O ile pamiętam, zrobiło się nam po prostu żal pogody. Postanowiliśmy niby to przejść się trochę po lodowcu z aparatem do zdjęć filmowych, oczywiście jednak na wszelki wypadek zabraliśmy z sobą linę, młotki i trochę haków. Kiedy o jedenastej znaleźliśmy się na krańcu skalistej grzędy oddzielającej Schlattenkees od Wiltragenkees'u, kędy biegnie najłatwiejszy szlak na Gross Venediger, cały sznurek turystów powracał już ze szczytu do schroniska. Jeden z przewodników, widząc, że idziemy do góry, namawiał nas, abyśmy zawrócili, gdyż na Gross Venediger jest już o wiele za późno. Ponieważ nasze utajone plany były daleko bardziej ambitne, mogliśmy z czystym sumieniem uspokoić poczciwca, że na Venediger napewno nie pójdziemy. Wobec wyrzeczenia tej solennej obietnicy, związaliśmy się liną i wzięliśmy kurs na lewo... wprost na północną ścianę Schwarze Wand.

Wkrótce wkroczyliśmy w labirynt złomisk Schlattenkeesu: lodowe turnice, lodowe korytarze i zaułki, skoki nad szczelinami ziejącemi pustką, białość tak oślepiająca, że o zdjęciu alpejskich okularów nie było nawet mowy, — słońce płonące na granatowo - czarnym, przez kontrast ze śniegiem, niebie — była to podróż po krainie świateł i nieznanych czarów.

Szliśmy wolno, bez pośpiechu, zatrzymując się często pod byle pretekstem. To było zbyt piękne, ażeby przejść, nie spojrzawszy. Filmujemy.

Każda ściana, do której się z daleka podchodzi, ma jedną niebezpieczną właściwość: im jest do niej bliżej, tym mniej groźnie wygląda. Wszelkie elementy pionowe, widziane doskonale z odległości, teraz — w skrócie przestają nas niepokoić. Pionowa ściana przeradza się w niewinne zbocze — zaledwie strome. Całkiem z bliska ściana „kładzie się" i po prostu zaprasza do wejścia. Trzeba umieć się oprzeć takiej pokusie, przywoławszy na pomoc doświadczenie. Nie zawsze mi się to udaje, co opłaciłem niejednym już odwrotem.

Tak samo było, gdyśmy siedzieli pod północną ścianą Schwarze Wand. Ściana „położyła się" zdecydowanie. Oczywiście zdawaliśmy sobie obaj doskonale sprawę jak jej stromość w praktyce wygląda. Opisu drogi nie było w przewodniku — dotychczas nie wiem na pewno, czy ściana ta była przed nami robiona, czy nie. Drogę wskazywał wprawdzie jasno żleb wypełniony lodem i wybiegający tuż obok wierzchołka, ale nie mieliśmy pojęcia, ile czasu może nam zabrać jego przejście. Zważywszy to wszystko — włożyliśmy raki i po obowiązkowym papierosie, o godzinie drugiej piętnaście po południu, weszliśmy w ścianę.

Pierwszą linę prowadził mój towarzysz, następną ja i tak na zmianę rąbiemy stopnie w stromym lodzie, albo szukamy chwytów i stopni w stromych skałkach, wystających z dna żlebu. Była to zabawa niezupełnie interesująca i zdecydowanie jednostajna. To też przeszedłszy jakieś 100 metrów, zdecydowaliśmy, że daleko weselej nam będzie na lewej grzędzie żlebu, gdzie świeciło słońce. Wobec tego skierowaliśmy się w lewo i wylądowaliśmy obydwaj szczęśliwie na krawędzi grzędy. Słońce niestety już z niej uciekło. Wobec tego wkładamy swetry — dotychczas bowiem szliśmy w koszulach — i walimy w górę.

Grzęda była nie taka znowu łatwa, jak się nam początkowo wydawało. Technicznie była co najmniej trudna — może nawet więcej, ale prawdziwą trudnością była jej wyjątkowa kruchość. Ani jeden chwyt nie był naprawdę pewny, szło się zupełnie na „słowo honoru". Poza tym ze względu na leżące gdzieniegdzie małe półka twardego śniegu, trzeba było cały czas iść w butach. Towarzysz proponował, żeby wrócić do żlebu, ja jednak byłem zdania, że mimo wszystko w skale mamy szybsze tempo, a za nic nie chcieliśmy nocować w ścianie, choćby ze względów prestiżowych (z Neue Prager Hötte obserwowano nas cały czas przez lornetki, nie mogliśmy się przecież kompromitować na obczyźnie). Istotnie po kilku zdajęciach, podczas których parokrotnie miałem ochotę odlecieć od skały, dobiliśmy wreszcie do przełączki, powyżej której grzęda „kładła się" całkowicie. Skała zmieniła się w błotnisty łupek.

Strącając całe lawiny kamieni, dobiegamy do końca grzędy. Dalej trawersujemy strome pole śnieżne, potem trochę lodu i wreszcie skręcamy w prawo, wprost w kierunku wierzchołka. Śnieg staje się coraz stromszy i coraz głębszy. Mijam towarzysza zakopanego głęboko w śniegu na stanowisku asekuracyjnym. Brnę powyżej pasa, kopię się z trudem w głębokim puchu i po kilkunastu metrach jestem pod nawisem szczytowym. Podsuwam się poderi coraz wyżej — wreszcie sięgam ręką ponad śnieżną przewieszkę. Wbijam czekan aż po łopatkę, tak daleko jak tylko mogę sięgnąć ręką — dźwigam się silnie i jestem na płaskim półku firnowym, tworzącym wierzchołek. Jest godzina 19 m. 15.

Ponieważ ze szczytu na przełęcz między Schwarze Wand a Rainer Hornem jest tylko kilka chwil, biegniemy na nią i tam dopiero zjadamy resztę czekolady i palimy papierosy. Robi się prawie zupełnie ciemno. Zaglądamy z przełęczy w stronę Schlattenkeesu: wielki, kilkumetrowy nawis śnieżny, potem strome zbocze, zdaje się silnie zlodowaciałe, u dołu rozciągająca się szeroko szczelina brzeżna. Od biedy dałoby się tędy zejść na szlak biegnący z Gross Venedigera — nasze aktualne marzenie — ale można się także brzydko zapakować w szczeliny. A nocować już teraz ani nam się śni — zawsze lepszy namiot i śpiwór niż biwak na śniegu bez jedzenia i odpowiednich ubrań, przy kilku stopniach mrozu.

Postanawiamy zatem przejść granią przez Rainer Horn na następną przełęcz Rainer Scharte. Jest ona dosyć uczęszczana, więc spodziewamy się złapać tam dobrze przetorowany szlak, który nas z niej nawet po ciemku sprowadzi do obozu.

Gdyśmy stanęli na szczycie Rainer Horn (3561 m) była już zupełna noc. Śnieg zdążył zmarznąć— oczywiście ułatwiało nam to pochód. Szybko zatem zbiegliśmy na Rainer Scharte. Nie była to niestety taka poczciwa tatrzańska przełęcz, na której odrazu wiadomo, że na prawo w dół jest dolina X a na lewo dolina Y. Przełęcz, na której właśnie znajdowaliśmy się, miała dobry kilometr długości i kilkaset metrów szerokości. Po prostu wielkie, płaskie pole śnieżne. Znajdź tu teraz, w absolutnej ciemności, nikły sznurek śladów ludzkich. Właściwie śladów jest dość, tylko mogą one zaprowadzić równie dobrze do naszego obozu, jak i do jakiejś odległej, niezbyt pożądanej doliny, albo zgoła na któryś ze szczytów. Chodzimy zatem po rozmaitych krzyżujących się ścieżynach w olbrzymi zygzak, którego każdy odcinek ma chyba z kilometr długości. Wreszcie jakiś wyraźniejszy szlak prowadzi zdecydowanie w dół. Podążamy nim i ku naszej radości wkrótce jesteśmy na wymarzonej oddawna drodze z Venedigera.

Tu już jesteśmy w domu. — Możemy zatrzymać się i bez pośpiechu wypalić papierosa. Inżynier wbija czekan w śnieg i siada na nim z rozkosznym westchnieniem ulgi. Czekan momentalnie zapada się aż po łopatkę i towarzysz niknie mi na chwilę z oczu, niby Mefisto w „Fauście". Za chwilę sprawiedliwy los darzy i mnie podobną rozrywką.

Po krótkim odpoczynku idziemy bez pośpiechu doskonale przetorowanym szlakiem. Po pewnym czasie dochodzimy do miejsca, gdzie lodowiec zaczyna opadać w dół nieco stromiej. Stąd już widzimy doskonale światła schroniska i naszego obozu. Jednocześnie jesteśmy zmuszeni i sami zapalić latarkę, jest bowiem tak ciemno, że o dwa kroki przed sobą nie widzimy kompletnie nic. Z obozu dostrzeżono nasze światło i poczęto sygnalizować nam latarką. Jeszcze godzina i wkraczamy na kamienistą ścieżkę w pobliżu schroniska. Po chwili widzimy jakąś postać idącą ku nam. To doktór Ostrowski, lekarz wyprawy, zauważył, że nasza latarka świeci coraz słabiej i wyszedł naprzeciw ze świeżą baterią.

Tu już koniec naszych peregrynacji. W kilka chwil — o godzinie 22.30 jesteśmy w obozie. Jemy kolację i włazimy do opuszczonych 14 godzin temu śpiworów.

O przejściu naszym mówiono wiele w schronisku, wśród przewodników i turystów. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że było ono przez kilka dni dosyć głośne.

Przyczyna tego (poza topograficznym położeniem ściany — na wprost schroniska) jest dla mnie jasna: oto w środowisku, gdzie panuje solidny, alpejski styl wypraw, z obowiązującym wstawaniem o drugiej—trzeciej w nocy (przy czym przy krótkich turach powrót następuje czasem... o 9-ej rano) pokazano po raz pierwszy i to z powodzeniem, lekki, pełen nonszalancji styl tatrzański: wyjście z obozu koło południa, wyjście w ścianę — dobrze po południu, na szczycie... o zachodzie słońca i mimo wszystko powrót jeszcze tego samego dnia bez biwaku. Oczywiście musiało to trochę zaimponować tubylcom. Do dziś jednak nie wiem (może zbyt słabo znam niemiecki?) czy podziwiano nas, czy też naszą lekkomyślność.

[1]) Wejście rynną Pallaviciniego na Grossglockner stanowi jedną z najbardziej klasycznych, nadzwyczaj trudnych dróg lodowych w Alpach Wschodnich. W ubiegłym roku m. in. przejścia tej drogi dokonało trzech członków polskiej wyprawy alpejskiej: T. Bernadzikiewicz, Z. Korosadowicz i J. Staszel w dniach 14 — 15 sierpnia.

[2]) Schwarze Wand — szczyt w grupie Venediger (wys. 3512 m.) w Wysokich Taurach. Przejścia (być może pierwszego?) jego urwistej północnej ściany dokonali w dniu 17.VIII ub. roku A. Karpiński i W. Żuławski.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Wybory we Francji

(z. d.) Wybory w państwach, które posiadają ludność politycznie wyrobioną, pozwalają zorientować się, w jakim stopniu programy partii parlamentarnych znajdują aprobatę mas. W wypadku wyborów do rad gminnych we Francji, które się odbyły w dniach 10 i 17 października, oczekiwano wypowiedzenia się Francuzów za lub przeciw socjalistom i komunistom. Wybory te miały wskazać, czy naród francuski życzy sobie dalszych rewolucyjnych reform społecznych, czy też pragnie jedynie stabilizacji zdobyczy już dokonanych, które, same w sobie, spotkały się we Francji z aprobatą decydującej większości. A ponieważ stabilizacja po reformach, gwałtownie przeprowadzonych przez rząd Frontu Ludowego pod przewodnictwem socjalistycznym, miałaby się odbyć przy obecnym rządzie z premierem radykalnym, więc nadchodzące wybory do rad gminnych miały być również próbą sił dla partii radykalnej. Partia ta, jak wiadomo, straciła w wyborach do Parlamentu w maju 1936 znaczny procent głosów, uzyskanych w wyborach poprzednich.

Naród francuski wypowiedział się za stabilizacją, która — brzmi to nieco paradoksalnie — ma być realizowana przez radykałów. Ten wyrok ludu zawarty jest w statystyce wyborczej z ogromną wyrazistością. Z porównania ilości głosów, oddanych na kandydatów do rad gminnych 10 października b. r., z głosami, jakie padły w tych samych okręgach przy wyborach do Parlamentu w maju 1936, wynika, że jedni tylko radykałowie mają do zanotowania wzrost liczby chwilowych zwolenników. Wzrost ten wynosi 36%, jest więc olbrzymi. Natomiast socjaliści i komuniści stracili 11% i 9% głosów. Spadek liczby głosów społeczno - rewolucyjnych wynosi więc 20%. Rezultat ten potwierdza całkowicie poglądy, wyrażone na tym miejscu już kilkakrotnie. Francja po wyborach z maja 1936, a więc — jak to się mówi u nas w pewnych kołach — Francja „folksfrontu", nie weszła bynajmniej na równię pochyłą eksperymentowania społecznego bez kresu i miary. Cała rzecz w tym, że naród francuski, który dał światu wydarzenia z końca XVIII i początku XIX stulecia, jest narodem wiecznego entuzjazmu rewolucyjnego. Niezależnie od tego entuzjazmu naród francuski ma wrodzoną refleksję i poczucie dyscypliny. Dzięki skojarzeniu tych cech mogą się we Francji odbywać, bez powodowania niebezpieczeństwa dla kraju, takie gwałtowne procesy rozwojowe, jakie w innych krajach, np. w Niemczech, skończyłyby się może katastrofą. Dlatego też rezultatu ostatnich wyborów nie można sobie tłumaczyć w tak prosty sposób, jak to czyni prawicowa propaganda polityczna: we Francji następuje „przejaśnienie" po okresie socjalistycznego „zaciemnienia" umysłów. Sprawa przedstawia się inaczej. Francja, która w maju 1936 r. dała się unieść entuzjazmowi rewolucyjnemu, była krajem, w którym zacofanie na polu ustawodawstwa społecznego stało się nie do zniesienia. Natomiast Francja, która szła do urn wyborczych 10 października b. r., była już środowiskiem społecznym, w którym niedawne osiągnięcia socjalne rozładowały potencjał rewolucyjny. Trudno przypuścić, żeby Francuzi, którzy przerzucili swe głosy z socjalistów na radykałów, mieli dać tym samym votum nieufności dla socjalistów, których powołali dla przeprowadzenia reform w maju 1936. Wynika z tego faktu raczej, że w sytuacji obecnej Francuzi ci wolą innych ludzi u steru rządu, który ma do spełnienia odrębne zadania.

Niemcy a Belgia

(z. d.) Odegrał się nowy akt walki mocarstw o decyzję Belgii współdziałania lub neutralności na wypadek wojny w Europie. Po deklaracji Anglii i Francji z 24 kwietnia b. r., w której Belgia zwolniona została z zobowiązań spieszenia z pomocą zbrojną, jakie zaciągnęła w stosunku do tych państw, nastąpiła 13 października deklaracja Rzeszy Niemieckiej, o stosunku jej do Belgii.

Deklaracja Rzeszy stanowi dopełnienie kwietniowej deklaracji anglofrancuskiej. Istnieją jednak między obu tymi dokumentami politycznymi pewne zasadnicze różnice. A więc tylko rząd n i e m i e c k i „potwierdza swoją decyzję nie przysporzenia w żadnych okolicznościach uszczerbku nienaruszalności i całości Belgii i respektowania jej terytorium". Ten zwrot, poprzedzony stwierdzeniem, że „nienaruszalność i integralność Belgii leży we wspólnym interesie mocarstw zachodnich", jest podwónym echem minionych lat. Nikt inny jak Niemcy, które mają na sumieniu inwazję z sierpnia 1914, musi się czuć zobowiązanym do tak stanowczego potwierdzenia swych intencji szanowania ziemi belgijskiej. Z drugiej znów strony stwierdzenie znaczenia nienaruszalności Belgii dla wszystkich mocarstw zachodnich jest powtórzeniem tezy umów z roku 1839, ustalających t r w a ł ą neutralność Belgii. Odzwierciadla się w tym okoliczność, że deklaracja Rzeszy z 13 października jest resztą okrojonego projektu umowy, proponowanej Belgii przez Rzeszę, w której Belgia przyjęłaby poraz wtóry statut trwałej neutralności. Projekt ten, rzucony przez Hitlera po zerwaniu traktatu lokarneńskiego i od tego czasu uporczywie forsowany przez dyplomację niemiecką, rozbił się ostatecznie o nieprzełamany opór Belgii.

Rzesza pozostawia sobie wolną rękę w stosunku do Belgii na wypadek, jeśliby Belgia współdziałała z innymi mocarstwami, występującymi zbrojnie przeciwko Niemcom. Komentarz ogłoszony przez urzędową agencję D. N. B. wyjaśnia, że to „współdziałanie" mogłoby być uznane przez rząd Rzeszy za agresywne w stosunku do niej i w takim razie, gdyby Belgia oddała swe terytorium jako bazę operacyjną armiom państw walczących z ramienia Ligi Narodów, a sama nie walczyła. Niemcy nie uznają pojęcia „wojny sankcyjnej", która w myśl paktu Ligi zawsze jest defensywna. Zobowiązują się szanować nienaruszalność tylko całkowicie neutralnej Belgii. W przeciwieństwie do tego Anglia i Francja definiują w swej deklaracji stosunek swój do Belgii w konsekwencji jej „ponawianych zapewnień wierności" dla zobowiązań ligowych, które, jak wiadomo, są pryncypialnym zaprzeczeniem wszelkiej neutralności. Obie deklaracje, anglo - francuska i niemiecka, choć regulują w dużym zakresie stosunek mocarstw zachodnich do Belgii, zawierają elementy, dowodzące, że w sprawie ustalenia swobodnej czy umownej neutralności Belgii będą się jeszcze toczyć walki dyplomatyczne.

Wreszcie należy podkreślić, że deklaracja Rzeszy wspomina na pierwszym planie o chęci Belgii prowadzenia „polityki niezależności", czego nie ma w deklaracji anglo-francuskiej. Ta różnica jest bodaj najdonioślejsza. Cóż bowiem oznacza pojęcie „polityki niezależnej"? Czy daje się ono pogodzić z członkostwem w Lidze Narodów, zaakcentowanym ostatnio przez udział Belgii w Radzie Ligi? Czy daje się ono wogóle sprecyzować? — Nie. Z pewnością pozostanie pojęciem, które można zrozumieć dowolnie. Można więc spodziewać się, iż Rzesza któregoś dnia postawi Belgii zarzut prowadzenia polityki „zależnej" od Francji, Anglii lub Ligi. A wówczas już łatwo wyobrazić sobie następny krok, którym byłoby przekreślenie dzisiejszych zobowiązań szanowania terytorium belgijskiego.

Szczególna metoda

(z. d.) Dnia 9 b. m. w mieście Teplitz w Czechosłowacji nad granicą niemiecką policja rozproszyła zgromadzenie uliczne Niemców, oczekujących na przejazd przez miasto swego przywódcy — Henleina. Fakt ten i następstwa jego są niezmiernie charakterystyczne, nie tylko dla metod państwowych czechosłowackich, ale i dla dyplomacji niemieckiej. Cóż bowiem się dzieje w konsekwencji incydentu w Teplitz? — Nie dość że Henlein i urzędowa niemiecka „Diplomatisch — Politische Korespondenz" łączą ten incydent ze sprawą żądań autonomii dla Niemców sudeckich, lecz Henlein, w liście wystosowanym do prezydenta Benesza, twierdzi, że tego rodzaju incydenty, jak ostatni w Teplitz, „mogą zagrażać spokojowi Europy", a Dipl.-Pol. Kor. precyzuje to, pisząc, że „jeśli kierownicze sfery Czechosłowacji będą się nadal uparcie trzymać obecnej politycznej i państwowo - prawnej struktury swego państwa, to nie mogą w żadnym wypadku być uważane za konstruktywny element dla pokoju Europy".

W dzisiejszej terminologii politycznej państwo, które nie jest dla pokoju świata elementem konstruktywnym, jest państwem, zagrażającym cywilizacji. Przeciwko właśnie tym, co są źródłem niepokoju międzynarodowego, skierowana była wielka mowa prezydenta Roosevelta, wygłoszona 5 b. m. w Chicago. Wszystkim wiadomo, kogo miał Roosevelt na myśli, mówiąc o mącicielach pokoju: N i e m c ó w między innymi. Metoda dyplomacji niemieckiej, ujawniająca się w komentarzach do ostatniego incydentu w Teplitz, ma więc cechy tricku, zwanego „łapaj złodzieja". Postawienie sprawy przez Rzeszę w stosunku do Czechosłowacji: „Jeśli nie dacie Niecom sudeckim autonomii, to zostaniecie uznani za przeszkodę w pacyfikacji Europy" — ma wszelkie cechy szantażu. Celem tego szantażu jest nie tyle doraźne straszenie Czechosłowacji. Cel krzyczenia na cały świat, że bez autonomii Niemców sudeckich nie będzie spokoju w Europie, jest inny. Niemcy wiedzą, że prędzej czy później podpiszą z Francją i Anglią pakt nieagresji. W tym pakcie Francja będzie się starała zastrzec sobie prawo zaatakowania Niemiec, w wypadku, gdyby Niemcy zaatakowały któregoś z jej wschodnich sojuszników. Tej idei Niemcy przeciwstawiają się już teraz i dla ułatwienia sobie zadania starają się wytworzyć opinię, że z w i n y s o j u s z n i k ó w F r a n c j i sytuacja na wschodniej granicy Niemiec nie daje szans zachowania pokoju. Jest to obliczone na Anglię, która boi się stale, że Francja zostanie wciągnięta w wojnę z Niemcami z powodu spraw mniejszościowych swych wschodnich sojuszników. Celem ostatecznym jest wytworzenie sytuacji, w której zagadnienie bezpieczeństwa na Zachodzie byłoby oddzielone od kwestii wschodnich. To zaś nie może być dla nas obojętne.

Konto

P. K. O. 11-144

O NAS U OBCYCH

Polska polityka zagraniczna — Sytuacja wewnętrzno-polityczna — Nowy spór Gdańska z Polską

Wychodząca w Bytomiu *Ostdeutsche Morgenpost* przyniosła w jednym z ostatnich numerów (nr 268) ciekawe rozważania na temat założeń i wytycznych polskiej polityki zagranicznej, którą nazywa polityką wojskową.

Pismo zaczyna od stwierdzenia, że u podstaw polskiej polityki zagranicznej, tak często atakowanej przez opozycję za jej rzekomą chwiejność, stoi jasno, do ostatnich szczegółów, wypracowany plan wojskowy, nakreślony przez najwyższe polskie czynniki wojskowe a realizowany na terenie polityki zagranicznej przez płk. Becka. O pasywnym stosunku polskiego sztabu generalnego wobec jakiegokolwiek państwa nie może być wogóle mowy, tym bardziej, że dzisiejsza polska polityka wojskowa, to — zdaniem pisma — w gruncie rzeczy nic innego, jak wybitnie ruchliwie prowadzona polityka bezpieczeństwa („ein ausgesprochen bewegliche Sicherheitspolitik").

Ostatnie czasy przyniosły szereg przykładów na konsekwentne i oparte o realną rzeczywistość wprowadzenie przez Polskę w życie zasad tej polityki, wynikłe z konieczności liczenia się z nowym układem sił politycznych w Europie. Otóż — jak powiada pismo — min. Beck nawiązał tutaj cały szereg kontaktów, dzięki którym w przyszłości Polska już nie będzie zdana wyłącznie na Francję i na jej siły zbrojne. Do wszczęcia przez Polskę tego właśnie rodzaju poszukiwań przyczyniło się w poważnym stopniu sojusz Francji ze Sowietami, które dla Polski stanowią najbardziej bezpośrednie niebezpieczeństwo. Wśród nowych osiągnięć w tym zakresie na specjalną uwagę zasługuje współpraca wojskowa z Rumunją: w wyniku tej współpracy został przedyskutowany i zaakcentowany przez obie strony plan strategiczny, obejmujący front od Morza Czarnego do Bałtyku, t. zn. całość wschodnich granic europejskich. Oba państwa zmierzają w swej polityce ku jednemu celowi: ochronie swoich powojennych granic państwowych. Obaj szefowie sztabu — polski gen. Stachiewicz i rumuński gen. Sichitiu — są zdecydowanymi przeciwnikami sojuszu Czechosłowacji z Sowietami. Sytuacja jest tutaj tego rodzaju, że — niezależnie od pomocy, na jaką może liczyć Bukareszt ze strony Beogradu — w wypadku zaatakowania Polski przez Czechosłowację tracą swoją ważność wszelkie umowy wojskowe, pozawierane w ramach Małej Ententy.

Na północnym wschodzie nawiązała Polska ścisłą współpracę z Łotwą i Finlandią. Współpraca wojskowa, jaka tutaj została ostatnio z powodzeniem zmontowana, zwraca się swym ostrzem przeciwko Sowietom. W ten sposób zrealizowana została jedna z wyznawanych przez Piłsudskiego zasad, że Polsce największe niebezpieczeństwo grozi zawsze ze Wschodu i że temu niebezpieczeństwu winny się zdecydowanie przeciwstawić wszystkie państwa wschodnio-europejskie. Tego rodzaju front antysowiecki stał się faktem dokonanym z chwilą, gdy zrealizowane zostało zagadnienie współpracy wojskowej między Finlandią, Łotwą, Polską i Rumunią.

Zdaniem *Ostdeutsche Morgenpost* nie należy wcale sądzić, że aktywność polskiej polityki wojskowej ogranicza się jedynie do Wschodu; na Zachodzie Polska dokłada nie mniejszych starań do stworzenia tam jak najbardziej pozytywnych warunków dla zabezpieczenia się przed Niemcami. Nie ma bowiem w Polsce żadnej różnicy zdań wobec stwierdzenia, że na Zachodzie sytuacja strategiczna Polski jest wyjątkowo niepomyślna. Polska jest jednak w chwili o tle w obecnej szczęśliwszym położeniu, że ze względu na aktualny układ sił politycznych w Europie nie grozi jej równoczesne niebezpieczeństwo konfliktu zbrojnego zarówno z Niemcami, jak i z Rosją Sowiecką. W tym układzie rzeczy szczególnej wartości nabiera znowu sojusz wojskowy z Francją, w którego ramach niemałą rolę odgrywa Czechosłowacja: chodzi mianowicie o to, że w wypadku ewentualnego wypadu niemieckiego ku Wschodowi oba te państwa zaatakowałyby napastnika niemieckiego z flanki. Polska — zdaniem pisma — może tu jeszcze liczyć na pomoc Anglii, aczkolwiek z nią paktów wojskowych nie zawierała, a w ewentualnym konflikcie zbrojnym z Niemcami nawet — pośrednio — na pomoc Sowietów, związanych paktami z Anglią!

O ile sytuacja Polski na zewnątrz — powiada pismo — przedstawia się wyjątkowo korzystnie, o tyle na wewnątrz ma ona do zwalczenia cały szereg trudności, związanych z należytym zorganizowaniem u siebie gospodarki wojennej. Dochodzą do tego jeszcze trudności w dziedzinie należytego zorganizowania pogotowia moralnego społeczeństwa, niesłychanie utrudnionego ciężką sytuacją materialną kraju.

„Mimo to — kończy *O.M.* — problem polityki wojskowej wiązać się będzie długo jeszcze z polityką zagraniczną Polski bez względu na to, czy w tej dziedzinie wystąpiłyby jakieś impulsy i dezyderaty ze strony kół partyjnych, czy nie. Jedno jest pewne: polski sztab generalny nie zrezygnuje tak prędko z wywierania wpływu na politykę zagraniczną kraju: co więcej — należy się tutaj nawet liczyć ze spotęgowaniem wpływów w tej dziedzinie. Rzecz oczywista, że utrzymane zostaną w całej pełni wszystkie kunsztowne kombinacje polityczne, pozwalające na dostosowanie się do każdorazowych sytuacji politycznych w Europie, oraz że Polska unikać będzie wszelkiej polityki awanturniczej, mając na oku nie tylko swoje własne bezpieczeństwo na wschodzie, lecz również i na Zachodzie."

* * *

Nawiązując do niedawnego wywiadu dra Lentza z „Volkischer Beobachter" u płk. Kowalewskiego, *Der Danziger Vorposten* (nr. 24 z 14.10) wyraża przekonanie, że plany i pobożne życzenia kierowników O. Z. N. z trudem dadzą się zrealizować w ramach współpracy z obecnym rządem. Realizacja tych planów byłaby możliwa tylko i jedynie przez zmianę gabinetu. Na razie jednak — powiada pismo — na to się nie zanosi, gdyż w nowym Obozie wszystko wre i kipi, ponieważ cały szereg idei, planów i pomysłów nie otrzymał jeszcze konkretnych form. Daje się zauważyć rozbieżność dróg, jakimi Obóz kroczy. Ma to miejsce zwłaszcza na odcinku młodzieżowym, gdzie młodzież wiejska grawituje na lewo, a Z. M. P., operujący w miastach, całkiem na prawo.

Nie ulega wątpliwości — ciągnie dalej pismo — że zarówno lewica, jak i prawica, utraciły ostatnio cały szereg poważnych pozycji, i że trudno będzie im w najbliższej przyszłości pozycje te odzyskać. Płk. Kowalewski miał — zdaniem *D.D.V.* — zupełną rację, mówiąc, że za partiami nie stoi żadna konkretna siła. Wypływająca z takiego stanu rzeczy bezradność partii wystąpiła na zewnątrz w całej swej okazałości, gdy dyskutowana była sprawa nowych wyborów. Otóż lewica odniosła się do tego pomysłu nieco niewyraźnie, podczas gdy prawica zupełnie otwarcie stwierdziła, że nowe wybory nie usuną trudności wewnętrznych, że raczej przyczyniłyby się one do zademonstrowania nazewnątrz wewnętrznego rozbicia narodu polskiego.

Do tworzonych ostatnio frontów i porozumień nie należy — zdaniem pisma — przywiązywać specjalne wagi, gdyż żadnych efektów tego rodzaju przegrupowania sił nie dadzą. Jeśli czynniki, aranżujące tego rodzaju przegrupowania, liczą na utrącenie rządu, to mylą się z gruntu: nie zdają bowiem sobie sprawy z tego, że każdy rząd, nawet rząd, oparty na O. Z. N., będzie miał zawsze w swoim ręku tyle atutów siły, że o usunięciu go w żadnym wypadku nie będzie mogło być mowy. Cały więc ruch partyjny ostatnich dni nie posiada większego ciężaru gatunkowego. Nie są już atrakcją takie nazwiska jak: Paderewski, Haller, Dmowski, Wojciechowski, Kukiel i Korfanty, podobnie jak nie ma w sobie atrakcji założone przez tych panów nowe Stronnictwo Pracy. Stojące na uboczu Stronnictwo Ludowe jest kokietowane przez ludzi z prawa i z lewa, nawet przez O.Z.N., nie może jednak zdobyć się ono w chwili obecnej na nic więcej, jak tylko na podkreślanie swojej niezależności politycznej.

„W ten sposób — kończy pismo — obraz sytuacji wewnętrznej w Polsce w dalszym ciągu jest niejasny. Niewyjaśniony został jeszcze stosunek rządu do O.Z.N., i nie wiadomo również, w jakiej formie zechce Obóz oddziaływać w przyszłości na życie polityczne kraju. Nie zostały jeszcze wypróbowane: ani prężność Obozu, ani jego siły moralne. Partie zaś po lewej i po prawej stronie, mimo że przeprowadzają przegrupowania i tworzą nowe fronty, boją się i wykazują wielką nerwowość, nie wiedząc, w jaki sposób będą mogły odzyskać nie tylko utracone pozycje, lecz również rządy w kraju."

* * *

Ostatnim wypadkom na terenie Gdańska, związanym ze sprawą tzw. parafii personalnych, poświęcił naczelny organ hitlerowski w Rzeszy, *Volkischer Beobachter* (nr 290 z 17.10.) dłuższy laborat pióra swego korespondenta gdańskiego, Wilhelma Zarske'go, piastującego równocześnie stanowisko naczelnego redaktora organu hitlerowców gdańskich — Der Danziger Vorposten.

Zarske określa krok biskupa O'Rourkego w sprawie powyższych parafii jako wystąpienie przeciwko „prawom suwerennym" Wolnego Miasta oraz jako wystąpienie przeciwko jego prawom patronackim. Zarske twierdzi dalej, że powyższe zarządzenie władze gdańskie zmuszone były uznać za posunięcie polityczne i zdecydowanie im się przeciwstawić. Władze te — jak powiada Zarske — obawiały się, że przez stworzenie polskich parafii personalnych dojść może do rozwinięcia przez Polskę akcji polonizacyjnej wśród katolików gdańskich nie-Polaków!

Zarske wskazuje dalej na to, że sprawa parafii nie jest pierwszą sprawą kościelną o charakterze politycznym, z jaką Polska występuje na terenie Gdańska. Spraw tych było już kilka, jednak formy najjaskrawsze przybrały sprawy ostatnie. Zarske podkreśla z zadowoleniem fakt poparcia wystąpień władz gdańskich w tej sprawie przez niemiecki kler katolicki, który podobno miał stwierdzić, że opieka, jaką hitleryzm w Gdańsku otacza kościół katolicki, jest wyjątkowa i że o takiej opiece kościół nawet marzyć nie mógł za czasów panowania partyj w Gdańsku. Zarske wyraża w zakończeniu swego artykułu nadzieję, że Watykan uwzględni „słuszne" potrzeby Gdańska w tej dziedzinie i przyczyni się do tego, że dla żadnego „polskiego, obcego ciała" w Gdańsku nie będzie odtąd nigdy miejsca.

Plotki polityczne

Na pierwsze dni zbliżającej się sesji sejmowej przygotowana jest podobno ostra interpelacja grupy posłów konserwatywnych zwrócona przeciwko min. Kalińskiemu. Interpelanci mają wystąpić z kategorycznym żądaniem skonfiskowania wydanej ostatnio książki telefonicznej na rok 1937/38. Powodem jest zamieszczenie na str. IV. „Wstępu", w sposób wybitnie rzucający się w oczy, 2 telefonów „BIURA NAPRAWY". Interpelanci widzą w tym dowód wybitnego zaangażowania się obecnego Rządu na rzecz politycznego kierunku „Naprawiaczy". Według informacji prasy konserwatywnej polityczną odpowiedzialność za ten wysoce skandaliczny fakt ma obciążać min. Poniatowskiego. Nie jest jednak wyłączone, że min. Poniatowski działał w tym wypadku z inspiracji woj. Grażyńskiego oraz w porozumieniu z p. wicepremierem Kwiatkowskim.

PRZEGLĄD PRASY

Deklaracja z 14.10.

Ogłoszenie wspólnej deklaracji ideowej przez Związek Harcerstwa Polskiego, Związek Strzelecki, Centralny Związek Młodzieży Wsi oraz Organizację Młodzieży Pracującej odbiło się głośnym echem w społeczeństwie, które w olbrzymiej swej większości nastawiło się do tej deklaracji pozytywnie.

Polska Zbrojna (nr 285 z 15.10) odniosła się do powyższego faktu z entuzjazmem:

„Znowu jasny, jakże świetlany promień, rzucony na tło naszej rzeczywistości; jeszcze jeden krok naprzód ku prawdziwie Nowej Polsce!

Trzy potężne organizacje młodzieży i młodych zdecydowały ostatecznie skierować w jedno wspólne łożysko ideowe trzy zbieżne ideologicznie, lecz działające oddzielnie zgrupowania młodych, zgrupowania tak chlubną kartę mające już w dziejach wychowania obywatelskiego w Nowej Polsce.

Mimo woli cisną się pod pióro słowa wieszcza—„Młodości ty nad poziomy wylatuj." Bo do wzlotów nad dzisiejszy poziom pewnych sfer i kół wzywa deklaracja. Nie tylko wzywa. Nakazuje te wzloty swym kadrom organizacyjnym:

[illegible] — zgodna z czynem,
szlachetna ambicja dźwigania Polski wzwyż,
radość życia płynąca z zasłużonych zwycięstw,
szlachetna rycerskość — znamię ludzi silnych,
miłość ojczyzny spełniona z pojęciem honoru i obowiązku żołnierskiego.

Oto w najlapidarniejszym ujęciu hasła, które rzuca młodzieży polskiej deklaracja.

Deklaracja przyjmuje w wychowaniu młodzieży niezłomne zasady etyki chrześcijańskiej wbrew prądom materializmu i przemocy, które usiłują podbić dziś świat.

Lecz nie przeciwstawia im pięknych słów tylko. Potępia kwietyzm ideologiczny, wzywając do czynów wielkich, pięknych, z poczucia honoru płynących, do zasłużonych, w rycerskiej walce — a więc z odsłonioną przyłbicą odniesionych zwycięstw.

Z ideologii Pierwszego Marszałka Polski czerpiąc swe źródła, dalej chce prowadzić młodzież polską ku Polsce radosnej i kwitnącej, ku Polsce z ducha młodej a potężnej — w myśl wskazań Marszałka Śmigłego-Rydza.

Deklaracja trzech organizacyj odezwie się niewątpliwie głośnym echem we wszystkich sercach i duszach polskich".

Gazeta Polska (nr 288 z 17.10), poddawszy ostrej krytyce sekciarską ekskluzywność pewnych przywódców młodzieży, hołdujących tradycji staropolskich zajazdów i korsykańskiej vendetty i nie dopuszczających do głosu najbliższych sąsiadów, powitała deklarację z dużą satysfakcją, pisząc co następuje:

„Dobra, radosna nowina... Opiekunowie i przywódcy organizacji młodzieży polskiej.. wkraczając na wskazaną przez Naczelnego Wodza szeroką drogę ku lepszemu jutru Polski, nie zastrzegają sobie pierwszeństwa ani monopolu; bo, ośmielają się nawet otwarcie głosić, że zacierać będą różnice, a kultywować poczucie braterstwa w młodym pokoleniu.

Niechże im za to Bóg da zdrowie."

Równie pozytywnie, jak wymienione już dzienniki, ocenił deklarację *Kurjer Poranny* (nr 289 z 18.10):

„W stanie najgłębszej dekompozycji, w jakiej pogrążone jest społeczeństwo polskie — porozumienie, którego najpozytywniej pomyślane cele urzeczywistnione będą przez „wysiłki organizacji, aby nie tylko usuwać wszelkie tarcia i zadrażnienia w terenowej robocie, ale zaznaczyć wszędzie poczucie ideowego braterstwa", może być uznane tylko jako akt ułatwiający przyszłą szeroką konsolidację.

Porozumienie, obejmujące przede wszystkim młodszą generację, winno wydobyć te pozytywne wartości z nowego pokolenia, które wypływają z zapomnienia sporów orientacyjnych i te wspólne młodszemu pokoleniu hasła, które wymownie ujmuje deklaracja czwórstronna. Porozumienie 3 organizacji skupiło już część młodej inteligencji oraz większość młodzieży wiejskiej. Akces O M P przyłączył ponadto odłam młodzieży robotniczej i rzemieślniczej.

Dotychczasowa działalność zrzeszonych organizacyj i wysoki ton ideowy deklaracji dowodzą, iż mamy do czynienia z istotną próbą konsolidacyjną młodego pokolenia, a nie kolejną grą polityczną."

Stronnictwo Pracy

Oddawna zapowiadane ujednolicenie oblicza politycznego czynników, składających się na t. zw. Front Morges, stało się faktem i dało początek t. zw. Stronnictwu Pracy, powołanemu do życia na wspólnym kongresie Chrześcijańskiej Demokracji oraz Narodowej Partii Robotniczej.

Prasa nowego stronnictwa widzi w doprowadzonym do skutku zespoleniu ugrupowań rzecz na miarę historyczną.

Dziennik Bydgoski pisze tu jak następuje:

„Stronnictwo Pracy jest samodzielną grupą środkową, katolicką i narodową. Stworzenie jej przerywa dotychczasowy rozkład wewnętrznopolityczny (dekompozycję) i jest czynem twórczym i dla naszego życia państwowego dodatnim. Skupienie umiarkowanych elementów w silnym centrum, podpartym barkami narodowych robotników, stanu średniego i inteligencji, a współdziałającym z patriotycznym ludem wiejskim, jest dla państwa naszego wydarzeniem o niesłychanej doniosłości, bo wprowadza na arenę naszego życia publicznego czynnik równowagi."

Według *Polonii* Stronnictwo Pracy będzie — jako stronnictwo środka — „języczkiem" u wagi i stanie się obiektem pożądania ze strony zarówno prawej, jak i lewej...:

„Stronnictwo Pracy znajduje się w centrum. Będzie mieć po jednej stronie ugrupowania o programie mniej lub więcej konserwatywnym i demokratycznym, a po drugiej stronie organizacje bardzo radykalne (przynajmniej w słowach), wrogo lub niechętnie usposobione wobec Kościoła, pobłażliwie i raczej pokojowo usposobione wobec komunizmu. Nie ulega też wątpliwości, że Stronnictwo Pracy będzie zwalczane zarówno przez to, co nazywamy „lewicą", jak i to, co przywykło się nazywać „prawicą". Oczywiście może się też zdarzyć, że będzie przez oba te odłamy kokietowane i wciągane do współpracy."

Jeżeli chodzi o stosunek *Stronnictwa Narodowego do nowego ugrupowania*, to stosunek ten jest — nie ulega to żadnej wątpliwości — *zdecydowanie negatywny.*

Kurjer Poznański (nr. 474 z 16.10) podkreśla z naciskiem, że nowego konkurenta nie należy się bać, gdyż liczebnie jest on niesłychanie słaby.

„Stronnictwo Pracy powstało pod hasłem „zjednoczenia". To dzisiaj modne. W danym wypadku nawet szczere, o ile chodzi o motyw organizacyjny połączenia Chrześcijańskiej Demokracji z Narodową Partią Robotniczą. Każde z tych stronnictw jest na obszarze państwa jako całości tak słabe, że połączenie się ich pod kątem widzenia upragnionego wzmożenia sił jest — że się tak wyrazimy — logiczne. Czy ugrupowania te, razem wziąwszy, jako Stronnictwo Pracy, z dodaniem takiej czy innej organizacji społecznej, zdobędą w kraju wpływ poważniejszy, to inna rzecz."

Głos Lubelski (nr. 285 z 17.10) jest zdania, że koalicja Ch.D. z N.P.R. stanowi „jeszcze jedną próbę odciągnięcia coraz bardziej narodowo myślących mas polskich ku lewej stronie sceny politycznej."

„Mówi się centrum, ale to centrum jest właściwie centrolewem. Organy prasowe Partii Pracy idą we wspólnym froncie z PPS i ludowcami, żądając powrotu do przedmajowego stanu rzeczy. Jesteśmy stanowczymi przeciwnikami spychania Polski w bezwład przedmajowego pięcio przymiotnikowego parlamentaryzmu, bo przeciwnikami tego ustroju byliśmy przed majem".

Pismo wysuwa nawet twierdzenie, że całą robotę połączeniową kierowali... komuniści!

„Owych pięć przymiotników fatalnie związało morżowców z obozem folksfrontu. To jest bardzo przykra prawda, ale prawda. Kto dziś staje w „obozie antyfaszystowskim" i przysięga na świętą, pięcioprzymiotnikową demokrację, może ciskać ile chce gromów na komunizm, ale zawsze będzie miał Komintern za sojusznika.

Tą całą wielką grą przeciw „faszyzmowi" kieruje komintern i masoneria. Zaczyna się od demokracji, a kończy się na roli, jaką odegrali katoliccy baskowie w Hiszpanii. Niejedni już obsunęli się po tej linii pochyłej... Dał się użyć do tego nawet gen. Haller. To centrum, nim zaczęło istnieć, już było centrolewem. Stronnictwo Pracy jest raczej przedłużeniem folksfrontu ku prawej stronie społeczeństwa, niż czymkolwiek innym. Te same czołowe hasła i postulaty, te same dążenia plus.. katolicyzm. Ale katolicyzm dziś już nawet masonerii nie razi. Pozornie oczywiście".

Warszawski Dziennik Narodowy (nr 289 z 15.10), w uwagach gen. M. Januszajtisa podejrzewa też nowe ugrupowanie o uprawianie dywersji politycznej wśród katolików.

„Fakt ten jest tym więcej wiele mówiący, że wśród czołowych członków i nawet władz nowego stronnictwa widzimy długi szereg nazwisk, znanych z masońskiego światopoglądu, fanatyków nieszczególnego dla ludzkości (szczęśliwie mijającego) okresu ideologii, zbudowanej na W. Rewolucji!"

Koła socjalistyczne oceniają przyszłość Stronnictwa Pracy pesymistycznie. *Robotnik* np. pisał tu o akcji połączeniowej dosłownie co następuje:

„Jest to próba skupienia grup i jednostek, które nie chcą czy nie mogą — ze względów ideowych— iść ani z ruchem socjalistycznym, ani z ruchem ludowym, ani z ruchem „narodowym". Pragną więc powołać do życia coś „swego własnego". Nikt im nie może odmówić tego prawa chociaż trzeba stwierdzić dla ścisłości, że życie zbiorowe Polski rozwija się zgoła inaczej i — wskutek tego — szanse „Stronnictwa Pracy" należałoby traktować z dużym sceptyzmem. W Polsce dokonywują się istotnie duże i poważne procesy konsolidacyjne, ale według zupełnie wyraźnych ideowo „linii podziału". Za tymi wyraźnymi ideowo „liniami podziału" żadne „centrum" nigdy nie nadąży."

Na zakończenie warto również zanotować ciekawy głos *Dziennika Porannego* (nr 292 z 15.10) o pozycji nowego Stronnictwa w polskiej rzeczywistości politycznej:

„Stronnictwo Pracy, opierając swą siłę głównie na negacji, zakreśla tym samym swój żywot na tobi okres czasu, w jakim trwać będzie niebezpieczeństwo, któremu się przeciwstawia. W normalnych warunkach rzeczywistej demokracji, gdyby nawet powstało, byłoby tylko szerokim wachlarzem malkontentów bez żadnych podstaw politycznego trwania. W pozytywnych tezach swego programu nie mogłoby się utrzymać — byłoby anomalią.

Dziś jednak — w wyniku paradoksów i wykoślawień naszego życia — w negatywnej stronie swego programu znajduje pewne źródła jeśli nie siły, to przynajmniej trwania i z negacji wywodzi dziś swe pozytywne na dzień dzisiejszy znaczenie."

Ludzie i koniunktura

Analizując aktualny stan współczesnego życia publicznego w Polsce, *Wiek Nowy* (nr 10.922 z 15.10) dochodzi do przekonania, że stoi ono pod znakiem szerokich i dążących do uniwersalizmu prądów, co jest równoznaczne ze zdobywczością i nietolerancją.

W chwili obecnej — powiada pismo — mamy w Polsce do czynienia z dwoma kierunkami, które wywierają przemożny wpływ na życie publiczne.

Jeden z nich — to mniej lub więcej wyraźne *aspiracje totalistyczne.*

„Nikt z rządzących jawnie ich nie wyznaje, wszystkie ważniejsze enuncjacje polityczne zastrzegają się przeciw takim podejrzeniom. A jednak rzeczywista moc tego kierunku jest olbrzymia.

Aby ją zmierzyć, wystarczy rozejrzeć się dokoła. Jakiż los spotyka program demokratyczny, a więc najważniejsze przeciwstawienie totalizmu? Jest ten program ze swymi wyznawcami — łagodnie mówiąc — w niełasce. Być demokratą i przyznawać się do tego, znaczy narażać się na nieprzytomne i bezradne ataki apostołów i kondotierów modnej doktryny. Co gorsze — być demokratą znaczy narażać się na głupkowate, a jednak jakże często

ważkie w skutkach, insynuacje i podejrzenia. Demokracja — to przecież „folks front", to masoneria i Komintern i „zgniły pacyfizm", to „sianie anarchii i fermentu", to hamowanie Polski na drodze do potęgi, to zatruwanie duszy narodu. Zewnętrznym wyrazem następstw, jakie przynoszą podobne sugestie, jest łatwa do stwierdzenia okoliczność, że w żadnym wypadku nie uległy dotąd represji peany na cześć totalizmu: jego potępianie natomiast niejednokrotnie spotyka się w publicystyce polskiej z doraźną interwencją — czerwonego ołówka."

Drugim ruchem dominującym jest *bojowy antysemityzm.*

„W istocie swej nie wiele ma on wspólnego z ekonomią, socjologią i nawet z hasłem unarodowienia życia polskiego. Jest raczej emocjonalnym pędem żywiołowym, żądającym od sumienia obywatelskiego zupełnego poddania się. Uderza z całą furią zarówno w tych, którzy w imię cywilizacji nie uznają metod gwałtu, jak i w tych, którzy w imię rozumu wskazują na bezskuteczność oręża, wyniesionego z barbarzyńskiego arsenału. Jednych i drugich piętnuje jako zdrajców i nazwiska ich podaje w niesławę, jak chociażby nazwisko owego warszawskiego profesora, który ośmielił się zaoponować przeciw polityce znaczonych ławek, bo ani w prawie, ani w nauce nie znalazł usprawiedliwienia dla tego aktu."

Jakże wobec tych dwóch dyktatur zachowuje się nasze społeczeństwo? —pyta w związku z powyższym pismo. Odpowiedź na to pytanie jest, niestety, przykra. Okazuje się mianowicie na podstwie pewnych oderwanych zjawisk, że odwaga w Polsce nie jest cnotą pospolitą, a stałość przekonań czymś, na czym można budować sąd o człowieku.

„Prąd porywa wielu i wielu odmienia nie do poznania. Zarówno totalizm, jak zoologiczny antysemityzm, znalazły nagle swych wielbicieli u ludzi, którzy niegdyś samą możliwość takiej metamorfozy u siebie uznaliby za obelgę. Dziś uchodzi za obrazę przypominać im kim byli. Totalistami hałaśliwymi zostają demokraci, pochwalają ekscesy antyżydowskie ci, którzy wczoraj chlubili się swym humanizmem. Zasłaniając wstydliwie zakamarki swej przeszłości kadzą nowym bóstwom mody, bezpieczeństwa osobistego i koniunktury.

A obok nich legion innych milczy. Napewno nie aprobuje, ale woli nie narażać się protestem. Nie płynie z prądem, ale i nie walczy z nim. Poprostu wycofał się z gry i czeka na brzegu przyczajony, aż przełamią się żywioły. To neutralni widzowie. Gdyby zaszła ostateczna konieczność i stawiono ich przed ultymatywnym wyborem, poszliby z ciężkim sercem na wszelkie ustępstwa, by ratować spokój swój i całość."

Pismo wyraża na koniec swych wywodów zadowolenie, że są jednak jeszcze ludzie, którzy z dużą dozą odwagi cywilnej przeciwstawiają się współczesnym dyktaturom myśli, i stwierdza, że

„mimo wszystko nie jest utopią wiara w wielkość ducha ludzkiego".

Samodzielna polityka ludowców

Wślad za „Zielonym Sztandarem" organ Stronnictwa Ludowego *Piast* (nr. 40 z 17.10) omawia zagadnienie samodzielnej polityki, którą Stronnictwo zamierza prowadzić bez suflerów z lewa i z prawa.

„Stronnictwo Ludowe ma swój światopogląd, ma swój program, ma swoje cele, do których dąży i które pragnie zrealizować. Ten właśnie fakt, iż w każdej sprawie staramy się mieć swój własny pogląd i swoje własne stanowisko, sprawia, iż jesteśmy stronnictwem, a nie bezładną kupą ludzi, sztucznym tworem, chwilową kombinacją polityczną. Ale w tym także powód, dla którego narażeni jesteśmy na gniewy i ataki ze strony innych, którym trudno się pogodzić z samodzielnym naszym stanowiskiem w rozmaitych sprawach, tym bardziej, iż pozbawieni prasy codziennej nie mamy dość możności ani propagowania, ani bronienia naszych poglądów."

I dalej jeszcze:

„Nie chcielibyśmy być źle zrozumiani. Bardzo sobie cenimy sympatyków i z lewa i z prawa. Nie chcemy sobie lekceważyć ich życzliwych rad, ale nie chcemy być niczyim narzędziem. Stronnictwo ma swoje wytknięte cele i chce samodzielnie decydować o swojej polityce."

Ciekawe są wynurzenia pisma na temat współpracy Stronnictwa Ludowego z PPS dla „realizowania konkretnych celów":

„Równolegle z nami walczą o demokrację, o zmianę ordynacji wyborczej, o nowe uczciwe wybory także inne organizacje polityczne, w pierwszym rzędzie PPS, reprezentująca wielkie masy pracownicze. I mimo, że dzielą nas różnice w niejednej sprawie, w tej drogi nasze się schodzą. W walce o wspólny cel wytwarza się rzetelne braterstwo broni. Na to nie trzeba tworzenia żadnych specjalnych kombinacyj politycznych, żadnych specjalnych „frontów."

Wynurzenia te są o tyle charakterystyczne, że świeżo powołane do życia Stronnictwo Pracy liczy się poważnie z możliwością uzgodnienia zasad współpracy z ludowcami na jednym froncie politycznym. Czyżby to była zapowiedzią renesansu „centrolewu?

Więcej przyzwoitości

Apel taki należy skierować pod adresem społeczeństwa żydowskiego w Polsce na marginesie niektórych zwłaszcza wystąpień prasy żydowskiej z ostatnich dni. A już bezwzględnie apel taki jest na miejscu, gdy lwowska *Chwila* (nr 6668 z 14.10), pisząc o ciężkim obecnie położeniu żydów w Polsce, wynosi równocześnie pod niebiosa stosunki, jakie na odcinku żydowskim panują... w III Rzeszy!

Oto, jak wyglądają wspomniane wyżej wywody „filo-hitlerowskiej „Chwili":

„Mimo ustaw norymberskich jesteśmy optymistami w odniesieniu do sytuacji żydów niemieckich. Sytuacja ich dziś przestała być najgorsza. Są na świecie żydzi, którzy w każdej chwili zamieniliby się ze swym położeniem z żydem niemieckim. Żydzi ci nie mają praw politycznych na równi z żydem niemieckim, z tą różnicą, że żydowi niemieckiemu ustawowo zabrano mnóstwo praw, ale faktycznie korzysta on ciągle jeszcze z bardzo rozległej ochrony prawnej, a żydowi, o którym mówimy, wprawdzie nominalnie żadnych praw nie zabrano, ale faktycznie wyzuto go z wszelkiej ochrony prawnej. Dodajmy jeszcze, że położenie ekonomiczne żyda niemieckiego jest znacznie lepsze, a obraz będzie kompletny. Zresztą sytuacja żydów niemieckich już się nie pogarsza, owszem, wszystko zdaje się wskazywać na to, że żydzi niemieccy najgorsze mają już dawno poza sobą. Nikt tam nie mówi o emigracji żydów z kraju, nikt nie bije żydów, nie urządza się na nich regularnych polowań. Swobody przekonań żydzi tam wprawdzie nie mają, ale nie mają ich w ogóle obywatele, nie mają ich także rdzenni Niemcy".

Komentarze są tu—rzecz prosta—zupełnie zbyteczne.

Wywiad i około wywiadu

Niedawno temu opublikowany został na łamach łódzkiego *Orędownika* wywiad z głośnym pisarzem Karolem Hubertem Rostworowskim. Wywiad ten, poświęcony w pewnej części sprawom żydów w Polsce, posiadał m. in. następujący passus antyżydowski:

„Jedną z największych zapór, stojących na przeszkodzie narodowi polskiemu w jego dążeniu do urządzenia sobie państwa według zasady: Polska dla Polaków— jest żydostwo.

Jestem przeciwnikiem pogromów, jednak nie możemy zgodzić się ulegle i milcząco na poniewieranie naszej godności narodowej, na poniewieranie Polaków.

Jedynym zadośćuczynieniem krzywd, wyrządzonych przez żydów narodowi polskiemu, jest, jeśli chodzi o etap przejściowy, ustanowienie dla nich praw, obowiązujących obcokrajowców, a w dalszym etapie — całkowite usunięcie z Polski".

Łódzka *Republika* (nr 276) w odpowiedzi stwierdziła, że tak ostry antysemityzm H. Rostworowskiego musi być jednak b. świeżej daty. Przy tej okazji pismo przytoczyło fragment pośmiertnego wspomnienia wydrukowanego przez Rostworowskiego na łamach łódzkiej „Prawdy" z 24.11. 1929 r. a poświęconego pamięci żyda Marcelego Barcińskiego:

— „On, Ignacy Friedmann i ja spotkaliśmy się pierwszy raz w roku 1901 na jakimś dobroczynnym czy też patriotycznym wieczorku...

— „Odtąd nie było dnia, ażeby nasza trójka nie spędziła kilku godzin razem. Mnie i Friedmanna łączyła wiara w naszą artystyczną przyszłość, z nim natomiast łączyła nas wiara w jego serce.

— „I tak powoli, cierpliwie stał się nierozerwalną cząstką mojego życia. Nierozłącznym towarzyszem doli i niedoli, mądrym doradcą, a częstokroć nawet ratunkiem w chwilach, w których dziwaczne losu koleje pchały mię na brzeg przepaści.

— „Do ostatniego jego tchu nie rozłączyło nas nic, ani różnica wyznań, ani różnica zabarwień politycznych, ani różnorodność zawodów — bośmy się znali do dna, bośmy Polskę gorąco kochali, bo wiedziałem, że należy do tych sprawiedliwych, o których powiedziano w księgach Joba: „Odpoczywać będziesz, a nie będzie ktoby cię straszył: i będą prosić oblicza twego mnodzy".

— „Niechaj tych kilka słów będzie wieńcem złożonym przezemne na grobie Marcelego Barcińskiego — niechaj będzie tą grudką ziemi, rzuconą na jego trumnę — i niechaj będzie głośnym wyrazem bólu, że ojczyzna nasza zawcześnie straciła jednego ze swoich wiernych, prawych i wielce użytecznych synów".

W dniu 21 b. m. ukazał się z kolei w *Warszawskim Dzienniku Narodowym* artykuł K. H. Rostworowskiego p. t. „Odpowiedź na Anonim". W artykule tym autor stwierdza, że wywiad zamieszczony w „Orędowniku" nie był mu dostarczony do przejrzenia, wskutek czego słowa jego zostały uszminkowane młodocianym „rumieńcem" i „zatraciły swój właściwy wyraz". Równocześnie sprawa przyjaźni K. H. Rostworowskiego z bł. p. Marcelim Barcińskim została wyjaśniona w słowach:

„...gdyby wszyscy żydzi w Polsce byli tacy, jak bł. p. Marceli Barciński, to kwestia żydowska byłaby z pewnością nieaktualna".

Przytaczamy bez komentarzy. Stwierdzamy jedynie, że gdyby przyznającym się do tak bliskiej przyjaźni z bł. p. Barcińskim i Ign. Friedmannem był nie K. H. Rostworowski, to sąd „Warsz. Dz. Nar." o tej sprawie byłby napewno niebezpieczny dla zbyt szczerego pisarza.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.

Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem